Nr 4. Kraków, kwiecień 1921. Rok II.

OGNIWO

MIESIĘCZNIK
POŚWIĘCONY POLITYCE, NAUCE I SZTUCE.

REDAGUJE KOMITET. — REDAKTOR NACZELNY: JAN OWIŃSKI.

PRENUMERATA: ROCZNIE 480 MK. — NUMER POJEDYNCZY 40 MK.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:
KRAKÓW, MAŁY RYNEK L. 4, I. — TELEFON NR 1286.

JULJUSZ SŁOWACKI.

Na sprowadzenie prochów Napoleona.

I.

I wydarto go z ziemi — popiołem,
I wydarto go wierzbie płaczącej,
Gdzie sam leżał ze sławy aniołem,
Gdzie sam leżał, nie w purpurze błyszczącej,
Ale płaszczem żołnierskim spowity,
A na mieczu, jak na krzyżu, rozbity.

II.

Powiedz, jakim znalazłeś go w grobie,
Królewiczu, dowódzco korabli? —
Czy rąk dwoje miał krzyżem na sobie,
Czy z rąk jedną miał przez sen na szabli?
A gdyś kamień z mogiły podźwignął,
Powiedz, czy trup zadrżał, czy się wzdrygnął?

III.

On przeczuwał, że przyjdzie godzina,
Co mu kamień grobowy rozkruszy;
Ale myślał, że ręka go syna
W tym grobowcu podźwignie i ruszy,
I łańcuchy zeń zdejmie zabójcze
I na ojca proch zawoła: — Ojcze!

IV.

Ale przyszli go z grobu wyciągać,
Obce twarze zajrzały do lochu;
I zaczęli prochowi urągać
I zaczęli nań wołać: — Wstań, prochu!
Potem wzięli tę trochę zgnilizny
I spytali — czy chce do ojczyzny? —

V.

Szumcie! szumcie więc morza lazury,
Gdy wam dadzą nieść trumnę olbrzyma!
Piramidy! wstępujcie na góry
I patrzajcie nań wieków oczyma.
Tam! — na morzach! — mew gromadka szara
To jest flota z popiołmi Cezara.

VI.

Z tronów patrzą szatany przestępne,
Car wygląda blady z poza lodów,
Orły siedzą na trumnie posępne
I ze skrzydeł krew trzęsą narodów.
Orły niegdyś zdobywcze i dumne,
Już nie patrzą na słońce — lecz w trumnę.

VII.

Prochu! prochu! o leż ty spokojny,
Gdy usłyszysz trąby śród odmętu,
Bo nie będzie to hasło do wojny,
Ale hasło pacierzy — lamentu...
Raz ostatni hetmanisz ty roty!
I zwyciężysz — zwycięstwem Golgoty.

VIII.

Ale nigdy, o nigdy, choć w ręku
Miałeś berło, świat i szablę nagą,
Nigdy, nigdy nie szedłeś śród jęku
Z tak ogromną bezśmiertnych powagą
I mocą... i z tak dumnem obliczem,
Jak dziś, wielki! gdy wracasz tu niczem.

FELIKS FIDZIŃSKI.

Szkoła polska a Armja pracy.

Z chwilą odzyskania przez nas niepodległości, stanęły przed nami wszystkimi bez wyjątku dwa zadania. Pierwsze: ugruntowanie podstaw państwa i drugie: budowanie na tych silnych podstawach gmachu ojczyzny. Dzięki zapałowi całego społeczeństwa zdołaliśmy ugruntować wspomniane podstawy. Budować zaś gmach ojczyzny będziemy — co nam obecnie zostaje — jeśli będziemy dokładać usilnych starań, by dźwigać ją z nędzy pracą, by stwarzać dobrobyt i kulturę mas. Doniosłem naszem zadaniem jest obecnie odbudowywanie, a może nawet budowanie naszego normalnego życia przez pogłębianie wykształcenia umysłowego oraz zawodowego i równocześnie i współmiernie. Takie postępowanie może zagoić rany, które nam wojna zadała. A zagoimy je jeszcze

łatwiej, gdy będziemy pamiętać o tem, że najwyższym nakazem życia dla wszystkich jest praca wszystkich i to tylko zgodna oraz ofiarna, gdyż taka może nam stworzyć gwarancje lepszej przyszłości.

Wszystko wzywa nas do wypełniania obowiązków, wszystko wzywa nas do współpracy, bo ta tylko jest życiem, bo ta tylko porusza wszystko. Celem tedy naszym powinna i musi być tylko twórcza praca, powinny być tylko twórcze cele.

Już starożytny Plutarch dowiódł w traktacie swoim: „O wychowaniu dzieci", że w przeprowadzaniu i dokonaniu wszystkiego dodają i dzielności i mocy usilność oraz praca — a że zaniedbanie powoduje utratę płodności, urodzajności i wydatności pracy.

Praca — to siła natury człowieka. Jest to wielka potęga, która nie lęka się mierzyć z potęgą sił samej natury. Według „Systemu umnictwa" Libelta nadają jej tę moc wiedza, idealność, duchowość, łączące się z siłą ludzką, a podnoszące skutek działania tejże. Inaczej możemy nazwać ją: samostarczalność oraz wszechzaradność w kierunku pracotwórczym. Każdy człowiek powinien dążyć do tego, by je osiągnąć i uczynić nieodstępnemi towarzyszkami swojemi, skoro zależy mu na tem, by posiadał jak najwięcej i skoro dla wyprodukowania tego wytęża często wszystkie swoje siły. Przez to samo powinno tej samej jednostce zależeć na tem, by i jego ojczyzna rozwijała się gospodarczo jak najszybciej oraz jak najlepiej, by wszystko wytężało swoje siły dla celów pracotwórczych.

Na Zachodzie pojawił się też prąd, dążący do zużytkowania wszystkich sił ludzkich w państwie dla tychże celów. A pchnęły go do takiego kroku zagadnienia życia, zagadnienia społeczno-ekonomiczne, owe istotne podstawy naszego bytu. Na takiej podstawie powstała tam idea Armji twórczej, Armji pracy. Łączy ona w sobie z jednej strony cele produkcji, a z drugiej zadania wojskowej obrony państwowej.

I u nas, w Polsce, powinna powstać taka Armja pracy, któraby uzdalniała swych członków pracotwórczo, pozwalała jej członkom przedewszystkiem pogłębiać swoje wykształcenie umysłowe, uczyła ich rzemiosł — dalej wyrabiała w nich karność, poczucie jej oraz obowiązku obywatelskiego, szacunek dla każdego zawodu i t. p. — sprowadzała ich następnie do tego, że sami uznawaliby konieczność pracy nad odbudową kraju oraz jego gospodarczem odradzaniem się i sami też dla tego kraju pracowaliby bezinteresownie, ale twórczo — któraby wyrabiała w nich niezbite przeko-

nanie, że fizyczne odrodzenie naszego państwa zależy nietylko od odrodzenia gospodarczo-ekonomicznego, ale także od umiłowania i rozpowszechniania kultu pracy, od pracowania wszystkich bez wyjątku fizycznie w miarę zdrowia i sił.

Nie należy atoli łączyć tej Armji pracy z armją militarną tylko, bo to nie odpowiadałoby tej nowej idei: uczynienia każdej jednostki w państwie jak najróżnostronniej twórczą, bo wojsko, to organizacja do pewnego stopnia przymusowa, ograniczająca się głównie do młodzieży wieku poborowego.[1])

Nie powinnibyśmy się — zwłaszcza Polska, która dopiero wstała i zaczyna się budować — ograniczać (jak n. p. Bułgarja, która wprowadziła u siebie „przymus pracy“ i ustawowo przewiduje pobór do tej armji zarówno dla mężczyzn, jak i dla kobiet) do armji militarnej i na nią tylko rozciągać owo kształcenie cech i uzdolnień pracotwórczych. U nas, w Polsce, idea naczelna tej Armji pracy: uczynienie jednostki jak najróżnostronniej twórczą — powinnaby ogarnąć wszystkich, a więc i naszą szkołę. Ją zaś tem więcej jeszcze, że wypełnia już jedno z zadań armji pracy, a mianowicie pracuje już nad kształceniem umysłowem młodzieży i pogłębianiem tego u niej. Dlaczegoż nie użyć do tak wzniosłego celu, jak bezinteresowne budowanie gmachu ojczyzny, a tem samem budowanie świata i swojej oraz wszystkich szczęśliwości, tego młodocianego wieku i zapału, tych młodzieńczych sił, dlaczego nie pokierować niemi należycie i nie wskazać im, że starość opiera się li tylko na zdrowiu oraz zapasach siły, uzyskanych przez pracę i wstrzemięźliwość w młodości — dlaczego nie przyzwyczajać tej właśnie młodości do umiłowania pracy i umysłowej i fizycznej, ręcznej i nie rozbudzać wśród niej zamiłowania do ochotnego zajmowania się pracą wszelkiego rodzaju — dlaczego dusić w niej i tępić ten wrodzony nam każdemu pęd ku ruchowi oraz czynności — dlaczego nie uczyć jej łamać z ochotą oraz zadowoleniem zapory i trudy życia.

Szkoła przedewszystkiem powinna dążyć do tego, by życie młodzieży było wyraźne, mocne oraz zdrowe, by jej wola była

---

[1]) O konieczności spożytkowania dla celów twórczych właśnie organizacyj wojskowych pisałem już w referacie p. t.: „Wychowanie oficera“ z 1920 r., przesłanym M. S. Wojsk. Dep. III. w listopadzie z. r. (dotąd bez odpowiedzi). Obecnie znajduję uzupełnienie swoich poglądów na tę sprawę w artykule p. K. Leczyckiego p. t.: „Armja twórcza. Zagadnienie Armji pracy“ w „Rzeczypospolitej“ Nr 50, z dnia 22 lutego 1921 r.

stalowa. Skoro zaś pozwala młodzieży żyć owocami drugich, a nie uczy jej samodzielności oraz przedsiębiorczości i nie budzi w niej poczucia własnej siły przy łamaniu przeróżnych trudności, nie pracuje najskuteczniej dla dobra i szczęścia jej samej.

I szkoła polska powinnaby dorzucić cegiełkę do utworzenia, względnie do tej tworzonej armji pracy i starać się, by jednostka była mniej więcej wszechstronnie, głównie zaś praktycznie wyszkoloną oraz twórczą, ale prawdziwie twórczą — powinna uczyć zużytkowywać wszystkie siły ludzkie dla celów twórczych.

A może to szkoła nasza powinnaby nawet uskutecznić ze względu na to, iż praca fizyczna jest przecież równoważnikiem pracy umysłowej, a więc ze względu na zdrowie młodzieży, a także dla dobra jej samej, dla dobrobytu naszej ojczyzny. Najkrótszą drogą do tego celu jest: zapoznanie młodzieży z jednem z zasadniczych rzemiosł, poświęcenie baczniejszej uwagi przedwojennym warsztatom szkolnym, gromadzenie młodzieży przy nich w godzinach pozaszkolnych — oraz poświęcanie uwagi pracy fizycznej w polu: łopatą, motyką i innemi narzędziami gospodarskiemi.

Praca fizyczna na wolnem i świeżem powietrzu oraz na słońcu jest z jednej strony ćwiczeniem fizycznem, które gimnastykuje swemi ruchami wszystkie mięśnie — daje młodzieży sposobność do bądź co bądź samodzielnej produkcji — zachęca ją przez to do fizycznej, twórczej pracy i na innych polach oraz uczy konieczności zwracania uwagi na nieznane jej do tej pory dziedziny pracy — może nawet na takie przeważnie, do których wyniosła z domu rodzicielskiego już uprzedzenie — zapoznaje ją bliżej i praktycznie z przyrodą i uczy obserwować jej rozwój — uczy młodzież, iż kształcenie umysłu tylko nie powinno być wyłącznym celem jej pracy oraz zabiegów w szkole, a temsamem prostuje jej fałszywe zapatrywanie na cel szkoły, wpojony jej przez rodziców — nie powiem przesadnych ale pragnących szczerze, by dzieci nie tak „ciężko“, jak oni sami, zabiegały o swoją przyszłość.

Odczucie znużenia pracy fizycznej w polu rodzi poczucie pracy, zrozumienie warstwy pracującej oraz sympatję dla pracy samej, jako takiej, która jest naszym uczniom ciągle obca.

Praca w warsztatach szkolnych wywiera także zdrowotny wpływ na ciało młodzieży, ale w mniejszym już stopniu. Moralne skutki takiej pracy — celem jej jest: budzić zamiłowanie do pracy wogóle — są także doniosłe, ale również w mniejszym stopniu, bo i odczucie znużenia takiej warsztatowej pracy jest mniejsze.

Oba atoli rodzaje pracy wykorzeniają wśród młodzieży fizyczne lenistwo, a tem samem i lenistwo wogóle. Nie chodziłoby w tym wypadku o to, aby te dały jej przynajmniej dokładne pojęcia o pracy rękodzielnika i o rzemiosłach — by rozumiała, co to znaczy pracować, jak się ma to lub owo zrobić, by ewentualnie rzeczy drobniejsze sama sobie mogła sprawić — by po ukończeniu nauk w gimnazjum n. p. i wyjściu z warsztatu szkolnego poświęciła się ewentualnie temu lub owemu rękodziełu, tej lub owej gałęzi przemysłu, aby, pomnażając swój dobrobyt, pomnażała w ten sposób dobrobyt ojczyzny — by w ciągu życia swego umiała sobie poradzić w najrozmaitszych okolicznościach i we wszystkiem w razie potrzeby — by przynajmniej rozumiała, jeśli już nie umiała, jak należy, to czy owo załatwić.

Tak więc praca wogóle jest z jednej strony, t. j. ze stanowiska zdrowia, ćwiczeniem fizycznem o doniosłej wartości, którego — zwłaszcza praca fizyczna w polu — żadna gimnastyka nie może zastąpić, wymaga bowiem równoczesnego wysiłku całego szeregu grup mięśniowych.

Z drugiej strony, t. j. ze względu na wpływ wychowawczo-moralny, uczy praca pokonywać trudności, budzi zaufanie we własne siły, pomaga młodzieży o słabych i wątłych siłach fizycznych do wyrastania na zdrowych i silnych ludzi, uczy, jak przeżywać życie w trudzie i znoju, a dążyć uparcie zawsze do zakreślonego sobie celu i spożywać u kresu owoce tej żmudnej ale swojej pracy, przyzwyczaja młodzież do faktu, iż każdy człowiek sam powinien przykładać rękę do wszystkiego, co mu potrzebne, oraz wbija w dumę obecnie, że się jest budowniczym gmachu państwa i jego dobrobytu przez pracę nad powiększaniem swojego własnego.

Powiedziano w Anglji, że człowiek nie jest wyłączną inteligencją, lecz tą połączoną z ciałem. Na tej też zasadzie uznano tam za konieczność wyrabianie energji, woli, siły fizycznej, zręczności ręki, zgrabności i t. d. — słowem wyrabianie i puszczanie w świat ludzi silnych oraz nieugiętych.

W każdej prawie szkole są drużyny skautowe, których celem i zadaniem jest wyrabianie samostarczalności i wszechzaradności, t. j. w każdym razie wyrabianie jednostki na jaknajróżnostronniej twórczą i tylko dla celów twórczych. Środki, jakiemi skauting się posługuje w przeprowadzaniu tego, nic nas tu nie obchodzą. Ale skoro zaczątek wyrabiania jednostek na jaknajróżnostronniej twórcze, samostarczalne i wszechzaradne jest już w szkole, dlaczego

go nie kultywować, dlaczego go nie rozciągnąć na cały zakład z tej małej garstki przez zachęcanie młodzieży do wciągania się do drużyn skautowych i otaczanie ich szczególniejszą opieką.

Szkoła na dwu polach może kult pracy u siebie rozwijać, może jednostki wyrabiać na samostarczalne i wszechzaradne. Jednem jest praca fizyczna w polu i w warsztatach szkolnych — a drugiem drużyny skautowe.

Obowiązkiem zresztą szkoły powinnoby być branie czynnego udziału w fizycznem odradzaniu naszego kraju, co jest najżywotniejszą kwestją współczesnych nam czasów. Do pewnego stopnia przyczynia się już szkoła do tego przez prowadzenie ćwiczeń gimnastycznych młodzieży. Ale dotychczas wyznaczone 2 godziny tygodniowo tylko na t. zw. gimnastykę przy braku odpowiednich środków, a w dodatku nieobowiązkowości gimnastyki w bardzo wielu zakładach, niechęci zarówno domu, jak i gron samych, po części i lekarzy, wydających świadectwa lekarskie, które od niej uwalniają — to kropla w morzu. Szkoła powinnaby zachęcać młodzież do jaknajliczniejszego brania udziału w ćwiczeniach gimnastycznych, gdyż tędy tylko — zdrowiem i siłami fizycznemi prowadzi droga do odrodzenia fizycznego kraju. Im więcej zdrowia i sił, tem praca wydatniejsza, tem więcej celowotwórcza. Pewnie, że poprawa stosunków ekonomiczno-gospodarczych kraju przyspieszy to odrodzenie, ale szkoły też zadaniem jest wskazywać młodzieży, że ani jedno, ani drugie nie nastąpi, dopóki wszyscy nie będziemy samostarczalnymi i wszechzaradnymi, tem samem jak najróżnostronniej wyrobieni. Znaczy to, że zadaniem szkoły obecnej powinno być kształcenie nietylko umysłu, ale baczne i pilne zwracanie uwagi na kształcenie ciała i sił jego, dbanie o zdrowie młodzieży, zaznajamianie jej z wszelkiego rodzaju pracą fizyczną, czy w warsztatach szkolnych, czy w polu, wyrabianie w niej zamiłowania do pracy i uważania jej za spełnianie zaszczepionego w duszę i serce człowieka owego szczytnego przykazania Bożego, za źródło szczęścia w szerokiem tego słowa znaczeniu oraz ogólnego bezpieczeństwa w myśl prawdy historycznej, że praca wytężona, mądra, celowotwórcza i zorganizowana jest fundamentem bytu państw cywilizowanych. Praca słaba, niedbała, bezładna i opieszała cechuje jedynie ludy mniej lub więcej barbarzyńskie.

A każdemu z nas powinno chyba zależeć na jaknajszybszem odrodzeniu fizycznem kraju przez pracę wszystkich w miarę sił wszystkich, a nie przez pracę określaną godzinami, leniwą i nie-

dbałą. Bo tylko pilna i celowo-twórcza praca wszystkich może nas odrodzić ekonomicznie, gospodarczo i fizycznie. Nasza więc szkoła narodowa powinna przedewszystkiem szerzyć ten kult pracy i organizować u siebie Armję pracy, Armję twórczą z hasłem: Dla dobra ojczyzny!

JÓZEF ANDRZEJ TESLAR.

O wpływie wojny na duszę dziecka.

Że wojna wywiera niedoceniony jeszcze, a jednak olbrzymi wpływ na życie społeczne, kulturalne, umysłowe, moralne i t. d., nietylko masy, ale i jednostki, o tem wiemy dziś wszyscy, a przecież u nas nie zastanawiano się nad tem należycie. Nie zwrócono uwagi na sprawę w kwestji owego wpływu przewartościowującego nasze życie na pozór małoważną i nie rzucającą się w oczy, a jednak pierwszorzędną — na fakt i doniosłość wpływu wojny na pokolenie najmłodsze — na dusze dzieci i młodzieży.

Uczynili to oczywiście Niemcy i to już w roku 1915, organizując specjalną wystawę we Wrocławiu i Berlinie „Szkoła a wojna". Na wystawę tę zebrano arcyciekawe materjały, pozwalające uchwycić bezpośrednio sposób i wartości reakcji umysłu dzieci i młodzieży szkolnej na wypadki wojenne, a więc wiersze wojenne dzieci, rysunki, pamiętniki, listy, komplety zadań domowych i szkolnych na zadane, lub dowolne tematy wojenne, wreszcie sprawozdania nauczycieli z poczynionych obserwacyj na poszczególnych dzieciach i całych klasach. Przy gromadzeniu tego materjału zwrócono uwagę na takie kwestje: co dzieci o wojnie myślą, czy i jak się nią interesują, na towarzyszące w tych momentach uczucia litości, nienawiści, chęci niesienia pomocy, na ich suggestjonowość, zdolność do poświęcenia i umniejszania swych wymagań, jak niemniej na stopień zajęcia się sprawami techniki wojennej, geografji i stosunków ekonomicznych.

W ten sposób uzyskano 20 tomów arcyciekawych materjałów, stanowiących osobny dział wspomnianej wystawy. Przegląd realny pewnych grup z punktu psychologji rozpatrywanych, daje nam zbiorowa praca organizatorów tej wystawy: O. Bobertaga, K. W. Dixa, C. Kika i A. Manna pod kierunkiem W. Sterna wydana,

jako 12-ty zeszyt dodatkowy do czasopisma: „Zeitschrift für angewandte Psychologie u. psychologische Sammelforschung“ w Lipsku p. t.: „Życie duchowe młodzieży a wojna“ („Jugendliches Seelenleben und Krieg“, Lipsk J. U. Barth 1915, str. VII 181).

Spróbujmy nakreślić wynik i wnioski, otrzymane z materjału tej wystawy. Oto, co nam mówią rysunki wojenne dzieci.

U dzieci rysunek nie przedstawia takich wartości i trudności, jak u dorosłych, gdyż moment artystyczny jest im jeszcze zupełnie obcy. Rysunek służy im zarówno jak mowa i pismo do naiwnego wypowiedzenia ich treści myślowej i uczuciowej. Nie doznają one tych trudności, jakie musi pokonać współczesny artysta, usiłujący oddać charakter i grozę wielkiej wojny. Posługując się symbolami prostymi, nie krępując się prawidłami perspektywy, proporcji i kompozycji, oddają z całą naiwnością treść swego do zagadnień wojennych stosunku. Oczywiście brano tu w rachubę tylko oryginalnie pomyślane i wykonane rysunki, a nie kopje. Spostrzeżenie łatwe, że chłopcy wierniej oddają pomyślany kształt, niż dziewczęta, podczas kiedy te ostatnie lubują się w dokładności wykonania i w kolorystyce, nic jeszcze nie mówi w naszej materji, jak niemniej fakt, że chłopcy okazali się i produktywniejszymi i bardziej spostrzegawczymi. Kiedy dziewczęta traktują tematy wojenne ogólnikowo, posługując się znanemi sobie zapasami wyobrażeń formalnych, chłopcy z całą śmiałością porywają się na oddanie zupełnie nowych pojęć i zjawisk. Kiedy dziewczęta przedstawiają wojnę raczej jako pejzaż i to z dokładnością drobiazgową i zmysłem dekoratywnym, chłopcy wprost oddają jądro swych pomysłów, nie potrzebując dopełniających ustnych komentarzy. Dziewczęta rzadko rysują bitwę lub okopy, natomiast wolą przedstawić żniwo w polu na wojnie, albo też przeważnie pielęgnowanie rannych w polu i szpitalu. Tymczasem chłopcy nie poprzestają na lecącym Zeppelinie nad krajobrazem, ale kreślą zamaszyście bitwy i patrole, doskonale oddając różnorodność umundurowania i uzbrojenia. Nie boją się też wcale scen masowych, bitwy lub zdobywanie miast przedstawiających. W chłopcu nieświadomie przemawia żołnierz przyszły — a w dziewczynie łagodna żona, matka i opiekunka chorych. Dziewczęta rysują też wciąż sceny, dotyczące pielęgnowania rannych, podczas kiedy chłopcom to na myśl nie przychodzi. Wolą oni strzelających, albo ostatecznie zabitych żołnierzy. Dziewczęta nie rysują też okrętów, balonów ani aeroplanów, jak chłopcy — chyba bardzo rzadko. Co się tyczy rysunku figury

dziewcząt, zbyt przypominają lalki i rysunki, oglądane w „modach“, podczas kiedy chłopcy oddają życie wojenne w całym wigorze, ruchu i temperamencie. Najcenniejsze są tutaj rysunki z pierwszego okresu wojny, gdyż wtedy umysły dzieci nie były jeszcze tak bardzo obeznane z rozpowszechnionym później przez ilustrowane czasopisma materjałem malarskim i rysunkowym, dotyczącym wojny — oczywiście nie chodzi tu o artystyczną doskonałość, ale o cel pedagogiczny i psychologiczny: rozpoznania, co i jak dziecko o wojnie myśli i o niej rysunkiem wypowiedzieć potrafi.

Następny dział stanowi zbiór wierszy wojennych dzieci i młodzieży szkolnej.

Czasu wojny — narymowano się powszechnie w takiej olbrzymiej ilości, jak nigdy. Kto nie rymował? I nic to dziwnego. Wiersz wszak jest formą, oddającą lepiej ekspresję uczuciową niż proza. Jest to nieświadome u starszych — tembardziej u dzieci, a pozwala nam trafniej uchwycić jakość i siłę poszczególnych dyspozycyj uczuciowych, zwłaszcza u pierwotnych umysłów dziecięcych. Tutaj oczywiście mają przewagę dziewczęta, zwłaszcza ilościową, gdyż chłopcy wolą majstrować okopy, szable, aeroplany i t. p., niż wiersze.

Według treści dadzą się one podzielić na następujące grupy:

a) wiersze o treści ogólnej: są to hymny pochwalne na cześć narodu, armji i cesarza, charakterystyki nieprzyjaciół i personifikacje wojny, jako niszczycielki, kroczącej poprzez kraje ziemi;

b) epiczne, przedstawiające poszczególne wypadki wojenne, rzeczywiste czy urojone;

c) mające na celu kult bohaterów (często związane z wierszami epicznemi). Tu oczywiście króluje Hindenburg, około którego dzieci niemieckie snują formalne legendy;

d) wiersze, opowiadające o wpływie wojny na wypadki rodzinne, jak wieść o rannych krewnych, ich śmierci, mówiące o tęsknocie za walczącymi w polu, ich pożegnaniu, wymarszu i trosce pozostających w domu;

e) humorystyczno-satyryczne (rzadkie);

f) symboliczne i wizjonerskie (także nieliczne).

Grupy te należy rozpatrzeć według trzech kategoryj: 1) dziecięce (do lat 10—11) — 2) dziewczęce i 3) wiersze chłopców. Podział ten jest planowy i najlepiej pozwala dojść dla celów psychologiczno-pedagogicznych do pewnych wniosków.

Wiersze dzieci do lat 10—11 obracają się prawie wyłącznie w zakresie grup *a)* i *c)*, to jest dotyczą ogólnikowych nastrojów wojennych oraz kultu dla bohaterów. Rzadziej mówią o znienawidzonych wrogach (Anglikach).

U dzieci starszych od lat 10—20 zarysowuje się już wyraźna różnica między chłopcami a dziewczętami. Chłopcy wolą epikę, podczas kiedy dziewczęta opowiadają o wpływie wojny na ich osobiste i rodzinne stosunki.

Dziewczęta pisują dużo. Mało u nich elementu historycznego, góruje wczucie się w osobiste i rodzinne przeżycia naogół wolne od ckliwej sentymentalności, a u starszych dziewcząt wybitniejsze w wyrazie i nawet w formie. Motyw śmierci żołnierza i żalu wśród pozostałych jest tu najczęstszy. Motyw grobu żołnierskiego i płaczącej matki — najulubieńszy. Niektóre zdobyły się nawet na silniejszy patos.

Chłopcy z wyraźnem zamiłowaniem zwracają się natomiast do konkretnych tematów wojennych, posiłkując się przeważnie formą ballady, przyczem wybitnie występuje u nich moment dramatyczny. Więc opisują bitwy masowe, ataki, napady torpedowców i rzucanie bomb z aeroplanów — mniej zaś pociągają ich wyobraźnie walki pozycyjne z natury swej pozbawione pierwiastków dramatycznych i ruchowych, podobnie, jak się to dało zauważyć w ich rysunkach. Nie znajdziesz też w ich utworach miękkich wzruszeń, żalu na widok ran lub śmierci, które z całą pasją radziby owszem wrogowi zadać. Nie współczują też z krewnymi swymi, którzy ponoszą tyle ofiar i wyrzeczeń. Wielkie natomiast znaczenie ma tu order żelaznego krzyża, który jest marzeniem każdego chłopca, uważającego go za najwyższy zaszczyt i nagrodę wojenną.

Jedyny i wyjątkowo skonstatowany przykład samokrytycznej analizy stanu twórczego u młodocianego autora stwierdził tylko ten fakt, że chłopcy piszą — bez zamiarów artystycznych, owszem — że wypadnie im nieraz zupełnie co innego w napisanym wierszu, niż to, co mieli zamiar w nim wypowiedzieć. Lepsze daleko rezultaty ujęcia stosunku zamiaru do wykonania i genezy utworu dają utwory pewnego rodzeństwa, obserwowanego pod tym względem przez ich rodziców.

Dzieciom i młodzieży nieobca jest znajomość Mikołaja, Greya, Poincarego i t. p., a Zeppelin bywa stale u nich triumfatorem, co jest oczywiście następstwem rozpowszechnienia prasy, dostępnej dziś i najmłodszym.

Najbogatszy i najciekawszy materjał stanowi trzeci dział wspomnianego zbioru: ćwiczenia pisemne dzieci i młodzieży o tematach wojennych. Wart on bliższego poznania.

Materjał ten uzyskany z t. zw. wolnych ćwiczeń, pisanych samodzielnie przez dzieci, które często i temat dowolny sobie wybierały, a pochodzący ze szkół ludowych i niższych średnich męskich i żeńskich, z wyższych zaś tylko z żeńskich — ma trojakie znaczenie: dla psychologji, dla historji i dla pedagogiki.

Oto szereg spostrzeżeń czysto psychologicznych z owych ćwiczeń dziecięcych wysnutych:

Jak wpłynęła wojna na zabawy dziecięce?

Swego czasu bawiły się dzieci w wojnę bursko-angielską, a następnie rosyjsko-japońską. Była to wszakże zabawa, traktowana na równi z innemi, jak w zbóje, żandarmy i t d. Obecnie rzecz przedstawia się zupełnie inaczej. Jest to przedewszystkiem „nasza“ (t. j. niemiecka) wojna, zatem też pochłania ona uwagi i dusze nietylko starszego pokolenia, ale także dzieci i młodzieży, które uznały wobec tego zabawę w wojnę za jedynie możliwą obecnie i jedynie pociągającą zabawę. Jeżeli dzieci zaczynają w piasku budować zamki i pałace — bardzo szybko poczynią z nich okopy i rowy strzeleckie. Jeżeli się bawią lalkami — zapewne są to w ich imaginacji najczęściej ranni lub chorzy żołnierze. Ćwiczenia i zabawy gimnastyczne przybierają stale charakter wojenny, a każda bójka śniegiem jest nieodzownie imaginowaną wojną z regularnem ostrzeliwaniem się dwu stron walczących. Nawet dziewczynki — co dawniej nie było ich zwyczajem — bawią się teraz w wojnę i w żołnierzy lub sanitarjuszki.

Czynnik naśladowczy decyduje tu zarówno o formie, jak i o treści każdej zabawy. Zeznają to dzieci, iż widząc ćwiczących się żołnierzy, postanowiły bawić się w wojsko — i opisują przebieg tych zaciętych i ulubionych zabaw, odbywanych z dokładną znajomością zasadniczych przepisów taktyki, jak marsz, patrolowanie i atak. Najkomiczniejszy moment zdarza się bardzo często: oto „nieprzyjaciel“ nie chce się uznać żadną miarą za pobitego, jakkolwiek z dyspozycji zabawy i roli wroga powinno to bez apelacji wynikać. Jedyne wyjście z tej spornej sytuacji możliwe jest wtedy, gdy obie strony w masie uznają się krótko za wroga i z determinacją rzucają się na siebie. Natomiast, jeśli przyjdzie do oznaczenia, kto ma być Moskalem albo Francuzem — kłótnia

jest nieunikniona. Jeśli dzieci bawią się żołnierzami ołowianemi — muszą już dzisiaj budować dla nich okopy i ostrzeliwać ich z aeroplanów. Natomiast sami chłopcy, jako żołnierze, pamiętają i o szarżach i o urządzeniach technicznych, nie brak im pik, szabel, trąb — owszem i „dzikich“ wprowadzają na swój teren wojenny, przyczem dochodzi do skrajnego realizmu w tem naśladowaniu wojny rzeczywistej, jak n. p. udawanie rannych i opatrywanie ich zupełnie serjo według reguł sanitarnych, przyczem krew podrabia się sokiem poziomkowym, a cerę „Turka“ n. p. sadzą. Z dwóch kół wózka, beczki lub konewki i deski fabrykuje się znakomite armaty, z pudełek od cygar powstają twierdze, a dawne papierowe jaskółki są dziś bezwarunkowo aeroplanami. Tak więc z realizmem współpracuje tu i siła iluzji, zdolność wyobrażeniowa, jakkolwiek przez dzieci uświadomiona sobie bez szkody dla istoty zabawy. Jeśli się rozpatruje owe sprawozdania pod kątem różnicy płci, odrazu uderza wtedy fakt, że kierownictwo w tych zabawach obejmują chłopcy i że oni właśnie zdradzają popęd i zdolności konstruktorskie, tam nawet, gdzie zabawa ma dziewczęcy charakter. Kiedy n. p. zbierają rannych — chłopcy zaraz budują namiot lazaretowy z flagą Czerwonego Krzyża. Mając na uwadze różnice, wynikłe z otoczenia, spostrzeżemy, że uczniowie szkół średnich bawią się w pokoju i zabawkami — szkół ludowych na wolnem powietrzu sami i gromadnie. Kiedy uczniowie szkół średnich bawią się zabawkami, kupionemi, uczniowie szkół ludowych sami sobie rynsztunek, cały sprzęt i materjał wojenny sporządzają. Ciekawe są różnice natury psychicznej. I tak: u chłopców uderza zainteresowanie dla technicznej strony wojny. Znają oni dokładnie różnice konstrukcji armat, dział i broni wszelakiej, modele aparatów lotniczych, naboje i części rynsztunku, zbierają chciwie różne odłamki granatów, guziki mundurowe i t. p., podczas kiedy dziewczynki na tym punkcie zdradzają zupełny brak zainteresowania. Chłopcy orjentują się w historycznym materjale i przebiegu wypadków wojennych, co się bardzo rzadko daje zauważyć u dziewcząt. Kiedy rozmowa zejdzie na plan wygłodzenia centralnych przez koalicję, chłopcy traktują ten pomysł jako jeden z manewrów wojennych — dziewczęta natomiast myślą i mówią o systemie oszczędnościowym. A jeśli chłopcy okazują się gorliwymi zbieraczami nawet wśród nieznajomych wełny, metalów, złota i t. p. dziewczęta ograniczają się przeważnie na środkach spożywczych, n. b. tylko wśród kół krewnych i znajomych. Gotowość niesienia

pomocy i wszelka akcja ratunkowa święcą istotnie triumfy w tej wojnie. Odbiły się one i na umysłach dzieci. Ciekawe znów atoli jest to, że dziewczęta często i chętnie są czynne na tem polu, ale w stosunku do znanych sobie osób, a w każdym razie bliżej określonych, od których wyczekują z zainteresowaniem słowa wdzięczności. Nie chodzi tu tylko o krewnych żołnierzy w polu, ale choć nieznanych, to w każdym razie indywidualnie pomyślanych, nazwanych i wyobrażanych. Dziewczęta z niecierpliwością rade są dowiedzieć się, kto ich podarunek w polu otrzymał, to też prawie zawsze załączają kartkę z pozdrowieniem, nazwiskiem swem i adresem. Otrzymawszy odpowiedź, starają się wyobrazić piszącego i określić go, choćby jako „bladego młodzieńca“. Jest to bardzo charakterystyczna ilustracja czysto kobiecej strony duszy dziewczęcej. Oczywiście przeważa u nich wybitna zdolność do wczuwania się w los i położenie żołnierza o podkładzie współczucia, przyczem niemałą rolę odgrywa fantazja. Szycie i robienie pończoch i ogrzewaczy na ręce jest najczęstszą formą niesienia pomocy żołnierzom, uzupełnioną przez wysyłki tytoniu, łakoci, środków spożywczych i praktycznych utensyljów. Cieszą się one przytem bardzo żywo, uważając swoją misję za bardzo ważną i współzawodnicząc nieraz z rówieśnicami.

O skłonnościach chłopców mówiliśmy już poprzednio. Dodać tu można jeszcze wyjątkowy, u chłopców tylko spotykany objaw żartobliwości i ironji, zwłaszcza w traktowaniu nieprzyjaciela.

U najmłodszych dzieci pojęcia wszystkie formułują się w słowach bardzo naiwnych, a jakość i ilość błędnych ich pojęć wypływa i zależy od siły afektów, które im towarzyszą.

Moment religijny wobec spraw wojny u chłopów jest niezmiernie rzadki — a wyjątkowy tylko u chłopców katolickich, w czem znać specjalnie wyznaniowy wpływ rodziny. Natomiast dziewczęta chętnie i samorzutnie potrącają o stronę uczuć religijnych, objawiając czasami wymowną siłę wiary w oddziaływanie Boga na sprawy i losy wojny, albo wznosząc doń gorącą modlitwę dziękczynną.

Bardzo charakterystycznym i pouczającym rezultatem tej wystawy szkolnej jest stwierdzenie na podstawie piśmiennych wypracowań dzieci, że uczucie nienawiści i chęci zemsty góruje nad wszystkiemi innemi uczuciami, że wypowiada się w wybuchowej formie i wszelakich odcieniach, przyczem najgoręcej znienawidzoną

jest Anglja. Dopiero myśl o żołnierzu niemieckim, albo widok rannych rozbudzi w sercach tych zaciętych nieprzyjaciół wszystkich wrogów ich ojczyzny uczucie litości. Nie brak i uczuć pessymizmu. Natomiast radość i pewność zwycięstwa wobec każdej pomyślnej wieści jest powszechna u dzieci i młodzieży.

Uwagi o pedagogicznem i historycznem znaczeniu omawianego zbioru zadań z konieczności tu pomijamy.

Ze spostrzeżeń nauczycieli, którzy przez czas wojny mogli obserwować reagowanie poszczególnych uczniów, jako też i całych klas na wypadki wojenne, wynika, że na ogół świat dzieci i młodzieży odbijał w sobie emocje pokolenia starszego, reprodukując nieświadomie jego o wojnie opinje.

U dziewcząt zainteresowanie uczuciowe wojną bywa z małemi i osobistej natury wyjątkami, bardzo niewielkie — przeciwnie u chłopców, których cały świat myśli i czucia wiruje około spraw wojny. Wszystko, co dotyczy armji i wojska, zwłaszcza marynarki i łodzi podwodnych, więc obrazy wojenne, więc samoloty, Zeppeliny, działa i t. d., są przedmiotami ustawicznych indagacyj nauczycieli ze strony chłopców. Nic dziwnego, że one też są mimowoli tematem rozmów ich między sobą oraz niewymuszonych bazgrów rysunkowych. Tu następuje szereg obserwacyj z zakresu psychologji uczuć dzieci, zgodnych na ogół ze spostrzeżeniami, poczynionemi już nad materjałem piśmiennym dzieci.

Zwycięstwa cieszyły dzieci najbardziej — z powodu wolnego dnia w szkole, danego im z tej racji. Nieobojętną jest obserwacja, że na pilność dzieci wpływał stosunek ich rodziny do wojny. Dzieci pomagające matkom, gdy ojcowie wyruszyli w pole mimowoli w tych warunkach zaniedbywały się w szkole. Na umysłach dzieci odbijały się też, rzecz prosta, masowe uczucia lub błędy, jak n. p. lęk przed szpiegami, lub specjalne przez wojnę wyhodowane — kłamstwa wojenne.

Tyle wiemy ciekawych rzeczy o wpływie wojny na dzieci niemieckie od Niemców samych.

Tu możnaby położyć kreskę, zamykającą sprawozdanie. Atoli naprowadza ono nas siłą rzeczy na pytanie, jaki wpływ miała i ma wojna na rozwój duszy i umysłu dziecka polskiego? Tuż po postawieniu tego pytania uświadamia sobie odrazu każdy z nas różnicę położenia dziecka niemieckiego a polskiego. U nas — o ileby ktoś zdołał zebrać podobny materjał doświadczalno-porównawczy — amplitudy wahań w świecie doznań i uświadomień kolejnych w du-

szyczkach dzieci polskich okaże się nierównie szersze i rozbieżniejsze. Jaką bowiem amplitudę wykreśla dystans między dzieckiem miasta, w którem dziecko polskie umiera z głodu i gruźlicy, a dzieckiem wleczonem i popędzanem przez kolbę żołdacką na dalekie emigracje aż po Syberję z nad Wisły. Mało które z nich co prawda tułaczkę (losów polskich wierne odbicie) przeżyje, dzieląc bez winy los walczących starszych braci i kładąc się w małym grobku przydrożnym nieopodal od mogił żołnierskich. Albo jak wyobraża sobie wojnę dziecko paskarza, a dziecko inteligenta, pracującego z ostatnią rozpaczą tylko na chleb — dosłownie na chleb — z ciągłym niedoborem...

Pracy niemieckiego nauczycielstwa nad urządzeniem wspomnianej wystawy „Kieg und Schule" patronowało niemieckie ministerstwo oświaty. Podobnież i nasze Ministerstwo W. R. i O. P. mogłoby oddać polskiej pedologji i pedagogice wielką usługę, polecając okólnikiem wszystkim szkołom polskim przedstawienie podobnego materjału i opracowując go następnie metodycznie.

Niestety — rozbijamy się wciąż jeszcze o brak środków przy niewyzyskaniu inicjatywy, która zaczyna się w Polsce kurczyć, obawiając się skazania na śmierć skutkiem — zbytku projektów...

ZOFJA WYGODZINA.

Dziwne szkoły.

I.

Społeczeństwo nasze, naród nasz nieraz przypomina człowieka, który wyostrzywszy nóż długi i giętki do krajania mięsa doskonały, chciał nim otwierać orzechy — a młotkiem stolarskim ubijał kapustę w beczce.

Takie urządzenia, takie zakłady, które są na to, aby wielki pożytek przyniosły krajowi i tym ludziom, którzy z nich korzystają, użytkuje się nieraz fałszywie, a przez to się marnuje. Potem zaś dziwi się, że niema z nich takiego skutku, jaki być powinien.

I tak to wygląda, jak gdyby nie zależało nikomu na tem, aby były. Myślę o szkołach gospodarczych dla dziewcząt wiejskich

czyli o żeńskich szkołach ludowych rolniczych. Czyż to nie są szkoły bardzo pożyteczne, potrzebne koniecznie, zwłaszcza dzisiaj? Czy ktokolwiek, choć trochę oświecony, może zaprzeczyć temu? Nie!

To jest zupełnie jasne, że jeżeli lud nasz, chłop nasz, chce być dobrym obywatelem kraju, jeżeli chce użyć na wspólne dobro całej ojczyzny władzy, jaką ma obecnie w garści, to musi być mądry i oświecony. Jasnem jest także to, że oświata i nauka wyniesiona z 4-ch czy nawet 6-ciu lat w szkole ludowej czyli powszechnej, na dzisiejsze potrzeby ludu nie wystarcza. Jasnem jest i to, że łatwiej nabyć między ludźmi oświaty mężczyźnie niż kobiecie. Mężczyźnie cały świat otwarty. Dziś, gdy niema prawie wsi, któraby nie miała między swymi mieszkańcami takiego, co to i w Warszawie bywał już, widzimy, jak samo życie w obecnych warunkach ludzi kształci i uczy. Nieraz trochę za późno, ale uczy.

Z kobietą inaczej. Choć się i rwie do życia, inaczej się jej ono układa. I co z tego wynika? Oto jasno myślący i szeroko patrzący gospodarz cierpieć musi w domu żonę, siostrę, córkę, która w miarę postępujących lat ma głowę coraz bardziej, jak to mówią, zakutą. Jeżeli tak jest, wtedy jego najlepsze zamiary poprawy gospodarstwa, jakiegoś czynu społecznego czy narodowego we wsi, a zwłaszcza poza wsią, rozbijają się, a conajmniej stępiają o opór, niezadowolenie i trujące życie gderanie i narzekanie niewiasty.

O tem wszystkiem nieraz już się pisało, ale dotąd z niewielkim skutkiem.

Czy dlatego, że niema rady? Jest, bardzo prosta i także już podawana. Trzeba kształcić kobiety w szkołach gospodarczych. Inaczej nazywają się te szkoły szkołami gospodyń albo szkołami rolniczemi ludowemi, albo internatami dla małorolnych gospodyń.

I o tych szkołach dużo się już pisało. Dziś są one napewne chyba najważniejsze, bo przeznaczone dla najliczniejszej i najbardziej potrzebującej oświaty warstwy narodu. Ale jakoś się nie rozwijają, ani pod względem ilości samych zakładów, ani pod względem ilości uczenic, ani stosunków materjalnych tych szkół.

Było w Małopolsce przed wojną szkół tych sześć i teraz jest ich sześć, a to: w Ruszczy pod Krakowem, w Bachowicach pod Wadowicami, w Szynwałdzie pod Tarnowem, w Przemyślu, w Podegrodziu pod Sączem i w Albigowej koło Łańcuta. A ustawa sejmowa z dnia 9 lipca 1920 r. określiła, że w każdym powiecie

powinna być jedna! — Tylko sześć powiatów na całą Małopolskę ma szkoły rolnicze dla kobiet!

Ustawa uznała, że tworzyć te szkoły mają czynniki samorządowe, a jeżeli one nie, to prywatne instytucje przy pomocy rządu. Zdawałoby się, że skoro szkoły te tak potrzebne, to będą powstawały, coraz nowe. Ale gdzie zaś! Nikt się o to nie troszczy! A któż się troszczyć powinien? Chyba ci, którym są potrzebne, a więc lud.

Nawet w tych szkołach, które już są, nie wszystkie miejsca są zajęte. Wyjątek stanowią szkoły SS. Służebniczek w Szynwałdzie i Przemyślu, które zawsze mają więcej zgłoszeń, niż mogą i chcą przyjąć — bo też stawiają lżejsze warunki, posiadając na cele te odpowiednie fundusze. Dlaczegoż więc tak mało garnie się lud do szkół gospodarczych? Czy może uczenice tam nie korzystają, lub rodzice nie są zadowoleni z otrzymywanej przez dzieci nauki? Bynajmniej, wprost przeciwnie.

II.

Najczęściej, gdy starsza córka wróciła ze szkoły gospodarczej, po roku, posyła się młodszą — i tak szkoły mają całe szeregi uczenic — z jednej rodziny. Najlepszy to dowód, że i uczenice i ich rodzice są ze szkoły zadowoleni.

Zapewne więc koszta nauki w istniejących szkołach są tak wielkie, że przeciętny gospodarz ponieść ich nie jest w stanie? I to nie. Prawie we wszystkich szkołach dąży się do tego, aby opłata rodziców za dziewczęta mogła pokryć tylko koszta ich utrzymania. Dotychczas jeszcze nie całkiem spełnionem jest marzenie tych szkół, aby rodzice dziewcząt dostarczali zboża, ziemniaków, tłuszczu, w ilości potrzebnej do wyżywienia jednej osoby, przez czas trwania nauki. I to wydaje się rodzicom za dużo!

Ciekawa to rzecz. Gdyby córka była w domu, zjadłaby przecież na pewne te produkty, o które tak trudno, których niby „niema“ gdy trzeba je dać dla szkoły. — Prawda, że coś odpracowałaby zato dla gospodarstwa ojcowego. Gdyby jednak i nie odpracowała, gdyby była leniwa albo chora — rodzice chyba nie poskąpiliby jej chleba w domu. A więc, czy chora lub leniwa córka więcej jest warta dla ojca i matki niż zdrowa, pracowita i na tyle mądra, że chce się uczyć tego, jak być lepszą córką, mądrzejszą gospodynią i oświeconą kobietą?

Dlaczegoż więc nie może gospodarz własnego dziecka wyżywić przez czas nauki w szkole?

Wiem, że nieraz mówią, że szkoła chce się uczenicami „dorobić". — Dziwny to dorobek. Jeżeli te kilka czy aż kilkanaście morgów gruntu, które szkoła ma na to, aby było gdzie pokazać i wyćwiczyć się w czynnościach gospodarskich — zdoła wyżywić konieczny dla szkoły inwentarz, to dobrze. Gdy jest trochę więcej gruntu — musi wyżywić jeszcze furmana, jakiegoś pastucha — no i nauczycielki. A skąd wziąć na jakieś ulepszenia w gospodarstwie, na próby i naukę nowych sposobów, na różne pomoce naukowe, obrazy, tablice, mapy nowe — a i na płace nauczycielek? Na to wszystko zarząd szkoły musi wymyśleć radę i znaleźć fundusze nieraz z wielkim trudem i ofiarami prywatnemi, czyli poprostu żebraniną. Przyjdzie kiedyś czas, kiedy dobra gospodarka zapanuje u nas w państwie, kiedy będą na szkoły rolnicze ludowe pieniądze wstawione w odpowiedniej ilości w budżecie, pieniądze z podatków — dziś szkoły się nie dorabiają, dziś ledwie że żyją, ledwie że tyle mają, że się ich nie zamyka.

Może więc to płaca nauczycielek pochłania jakieś wielkie sumy — może one to żyją krzywdą ludzką, zabierając dla siebie te fundusze, które dla rozwoju szkoły służyć powinny? Rzeczywiście, krzywda tu jest, ale krzywda nauczycielek.

W r. 1920 w jednej ze szkół dawnego Królestwa, nauczycielki szkoły gospodarczej, posiadające wyższe wykształcenie, pobierały prócz skromnego utrzymania miesięcznie do 1 kwietnia po 250 Mk, a od 1 kwietnia do 1 grudnia po 350 Mk. Równocześnie podzelowanie trzewików kosztowało na miejscu 700 Mk. Nauczycielka więc pracowała 2 miesiące na możność naprawy zdartego w pracy obuwia. Dlaczegoż one w tak niemożliwych warunkach pracowały? Dlatego właśnie, że myślą tak, jak i ja zresztą, że kobietom wiejskim oświata gospodarcza i ogólna przyda się, a dobro stąd wynikłe wyjdzie na pożytek całej Polski.

Te nauczycielki, to były małopolanki, które przyjechały tam prawie zaraz po uwolnieniu kraju od Ukraińców — jedna nawet była w więzieniu złoczowskiem — i zaraz chciały jaknajprędzej pracę zacząć w uwolnionych dawniej od wrogów częściach ojczyzny. Nikt się temu nie dziwił. Tylko dzisiaj dziwią się, dlaczego nie mogą nadal na podobnych warunkach pracować. Nie mogą zaś, gdyż są to osoby z najbiedniejszej dziś warstwy narodu... — z inteligencji.

III.

Trudno naprawdę znaleźć w szkołach gospodarczych jakiś główny błąd. Są błędy mniejsze, ale poprawiałyby się z nich szkoły, gdyby ci, którzy ich potrzebują, wskazali, jakie mają wymagania.

Owszem, rozumiem, że rodzice bardzo powinni dbać o to, do jakiej szkoły dziewczynę swą oddadzą. Nie wszystkie szkoły jednakie.

Najpierw więc powinni baczyć na to, jak tam im córkę wychowają. Czy to szkoła w duchu wiary naszej i w duchu polskim prowadzona? A zaraz potem pytać o to, czego się tam dziewczę nauczy? Nauka zaś zależy od tego, kto uczy i od tego, co nauczycielki mają postanowione uczyć — czyli od programu albo planu nauki. A wkońcu od środków jakie szkoła posiada.

Środki będą zależały od tego, jak ogół szkołę poprze. Jeżeli będziemy chcieli mieć dobrze uposażone szkoły, to zawsze się znajdzie sposób na to, by im pomóc. Czy przez posła, czy w gminie, czy w sejmiku, czy w Radzie powiatowej, czy na jakiem innem zebraniu w różnych instytucjach, czy własną pomocą.

O program, o plan szkoły, powinni rodzice bacznie rozpytać się zanim córkę oddadzą. Powinni przytem wiedzieć, że lepiej jednej rzeczy nauczyć się dobrze, niż wielu, po trochę. Każda szkoła ma swoje główne przedmioty nauki, które muszą być — ale prócz nich w jednych jest tkactwo, w innych pasieka, w innych większa mleczarnia i t. d.

Skoro się widzi, że szkoła specjalizuje się w jednej gałęzi gospodarstwa czy przemysłu domowego — nie żądać drugiej. Oczywiście, kuchnia, porządki domowe, szycie, ogród, hodowla, powinny być wszędzie. Dowiadywać się trzeba, która szkoła lepsza. Wtedy i szkoły, gdy będą czuły, że społeczeństwo niemi się zajmuje, będą się zajmowały tem, czego społeczeństwo od nich żąda.

Ale najważniejszą rzeczą jest to, kto będzie uczył nasze dziewczęta. Każdy to rozumie, że kto chce uczyć, ten sam musi dużo umieć. To znaczy, że sam musiał się dużo uczyć i dużo ćwiczyć w tem, czego uczy i co pokazuje. Ani sama nauka z książki ani sama robota bez nauki nie zrobi dobrej nauczycielki szkół gospodarczych.

Dlatego, niech ojcowie pytają, czy szkoły gospodarcze mają prawdziwie wykształcone nauczycielki. Jak to poznać? I to można.

Jeżeli nauczycielki mają ukończone studjum rolnicze w Krakowie, albo kursa Baranieckiego, albo jeżeli uczyły się w Warszawie w szkole głównej gospodarstwa, lub co, najlepiej, w seminarjum gospodarczem w Snopkowie pod Lwowem, które umyślnie na to istnieje, aby kształcić nauczycielki szkół gospodarczych, to można ufać, że nauka pójdzie dobrze. Tam nie będzie wedle przysłowia: „uczył Marcin Marcinka...“

Trzeba córki dawać do takiej szkoły, gdzie dziewczęta wszystko same robią. Wtedy dopiero można wiedzieć, czy nauka z książki i lekcji jest pożyteczna, gdy się ją w gospodarstwie i w życiu wypróbuje. Nie wszystko da się wypróbować, ale nauka gospodarcza bez pracy nic nie warta. Kiedy już dziewczę wraca ze szkoły, nieraz zdarza się, że mówią ludzie: „przeinaczyła się“ „odmienili ją“ — „ma przekręconą głowę“. — A mnie się zdaje, że błogosławione to przeinaczenie.

Widziałam dziewczynę, którą staruszek ojciec odwiózł do szkoły. Córka pod boki się trzymając, rozkazywała ojcu, jakie to stroje jeszcze chce mieć z domu. W szkole nauczono ją potem, że rodziców czcić należy i że nie rodzice dzieciom służyć mają, ale, że przeciwnie być powinno.

Słyszałam, jak dziewczyna bardzo mało umysłowo rozwinięta, gdy ją matka zabrać chciała ze szkoły, prosiła ją, by jeszcze ją zostawiła, bo tu, choć jej trudno, ale „wszystkiego“ się uczy, a w domu „była jak cielę“.

Widziałam łzy wdzięczności w oczach ojca, który przekonał się ile córka w szkole się nauczyła — i matki widziałam całujące z płaczem ręce nauczycielek. I byłam w domach dawnych uczenic szkół gospodarczych. Czyściej tam było, jakoś jaśniej, piękniej, ciszej, niż u sąsiadek. — Takie to „odmienienie“.

Co zaś do przekręcenia w głowie, to, niestety! — nieraz rodzicom samym się coś przekręca. Jak córka ich skończy szkołę gospodarczą, ten „uniwersytet wsi“ to już im się zdaje, że szkoda jej dla wsi rodzinnej. Powiadają: niech idzie do miasta lub miasteczka, do urzędu lub sklepu, albo niech wyjdzie za mąż za buchaltera, nauczyciela, posła, urzędnika, byle do miasta! Więc tak? Więc zawsze, co mądrzejsze ma iść do miast, a na wsi żaden promyk oświaty utrzymać się nie ma? Więc zawsze żony gospodarzy mają być ciemne, a najlepsze dziewczęta mają wychodzić za tych w mieście? Więc na to szkoły gospodarcze uczą mądrze układać i wykonywać czynności gospodarcze? Na to, by uczenica

potem w życiu robiła co innego? To właśnie tak, jak z tym nożem giętkim i cienkim, którym otwiera się twardy orzech, choć do tej roboty najlepszy jest prosty kozik, albo jak ubijanie kapusty młotkiem stolarskim — choć do tego jest drewniana dobnia. Cóż się stanie? nóż się zegnie a może i złamie, orzech się nie rozłupie. Kapusta się rozpryśnie, młotek utonie w niej i nada jej smak żelazisty.

Tak samo i dziewczęta wychowane i wykształcone na mądre gospodynie wiejskie, będą lichemi urzędniczkami, tak jak kasjerka nie umiałaby wydoić krowy. Chaty nasze, wsie nasze zostaną ciemne, a szkoły gospodarcze w takim razie nie spełnią swego zadania.

A jak trzeba?

Trzeba posyłać do szkół przyszłe gospodynie. Trzeba starać się wszędzie, wszystkiemi siłami, by nowe szkoły powstawały. Trzeba baczyć na to, czego, jak i kto uczy.

Trzeba aby młodzi nasi gospodarze porywali wnet wykształcone dziewczęta na żony, a nie dali ich odbierać sobie miastom. Niech każdego honorem będzie: „mądra żona, męża korona“.

Lwów, dnia 11/IV 1921.

KAROL SZUSZKIEWICZ.

Przyczynek do sprawy reformy rolnej we właściwem tego słowa znaczeniu.

(Dokończenie).

Czy niema jakiejś takiej reformy, którąby naprawiała wszystkie braki i potrzeby nie pojedynczo i po kolei, bo to, jak widzieliśmy, niewykonalne, ale za jednym zamachem odrazu! Jest!! Na imię jej „k o m a s a c j a“.

Co komasacja? O której wspomnieliśmy, że nie interesuje się nią chłop ani polityk ludowy, kosztuje dużo, trwa długo i daje skromne i częściowe tylko rezultaty? Tak! „Komasacja w połączeniu z dodaniem 10 do 15% ziemi do obszaru gminy za opłatą, z równoczesnem rozdzieleniem pastwiska gminnego za opłatą, z równoczesnem przeniesieniem przynajmniej około 1/4 części domostw na scalone grunta z równoczesnem wykonaniem

meljoracyj niezbędnych i przygotowaniem gruntu pod meljoracje przewidziane, względnie z uwzględnieniem ich w projekcie, z uwzględnieniem projektu regulacji rzeki i przygotowaniem miejsc odpowiednich na budowę kooperatywnych urządzeń i z przestrzeganiem zasady, aby połowa lub $^3/_4$ obszaru dodanej ziemi gminie dostała się w udziale gospodarstwom karłowatym". Tędy droga, albo wcale nie! Może być, ale czy nie jest to wogóle fikcją roztaczanie takich projektów? Czy nie jest to nieliczeniem się z trudnościami? Zacznijmy więc od przeszkód, których jesteśmy nad wyraz świadomi. Jedynie z świadomości olbrzymich trudności, które muszą być pokonane, płynie przeświadczenie, że albo ten program maksymalny będzie zrealizowany ze skutkiem, albo żadna zmiana nie będzie reformą istotną i jedynie z świadomości wielkich trudności wypływa projekt, którego zrealizowanie wymaga napięcia wszystkich władz duchowych narodu.

Gdzież te trudności? 1). Na kilka lat przed wojną omawiano na zebraniu członków jednego ze stronnictw ludowych w Polsce komasację. Brali w niem udział ludzie, znający duszę chłopa i wsi i życzliwi dla chłopa. Najkompetentniejszy z nich, bo autor praktycznej części ich programu, wyczerpał kwestję wyjaśnieniem, że „u nas do komasacji nie dojdzie, bo z naszym ludem na razie tak trudnego zadania uskutecznić nie można".

Nikt nie był innego zdania. I do dziś w tym obozie nie budzi idea komasacji żadnego zainteresowania. 2). Nie interesują się nią zupełnie politycy ludowi. 3). Jeden z wykształconych agronomów, który wiele lat pracował w Kółkach rolniczych, znający gruntownie potrzeby rozwoju rolnictwa i wieś naszą, wypowiedział zdanie, że „zamiast wkładać po 100 koron w hektar ziemi przy komasacji, lepiej będzie włożyć je w inne reformy, a osiągnie się lepszy rezultat". 4). Ludzie, którzy przeprowadzali komasację, urzędnicy urzędów utworzonych dla przeprowadzania reform agrarnych, twierdzą, że z naszym chłopem robić komasację można tylko w wyjątkowo korzystnych warunkach. 5). W jednej wsi, gdy zaczęto tyczyć na polu nowy podział pól, uzbroili się chłopi w co mogli, oświadczyli stanowczo, że o żadnej komasacji nie chcą słyszeć i dali do zrozumienia tym z pośród siebie, którzy chcieli komasacji, żeby nie ważyli się zgody swojej ujawniać.

6). Nie zna jej i nie chce o niej słyszeć chłop! Dość więc zarzutów? Ale jaka ich doniosłość? ad 1). Komasacja jest w Polsce zjawiskiem nowem i nieznanem. Najogólniejsze wiado-

mości o niej, które znamy wszyscy, nie uprawniają do żadnych wniosków. Autor programu stronnictwa ludowego miał o niej także tylko wspólne nam wszystkim ogólne wiadomości; a rzecz zupełnie naturalna, że zdanie człowieka nie poinformowanego nic nie mówi. 2). Kto są nasi politycy ludowi? Czy to tak, jak na zachodzie, kość z kości kolegów zawodowych? Czy to tak, jak w „Labour Partie", gdzie robotnicy zastępują robotników nawet na urzędzie ministra? Nie. Nasi politycy ludowi są raczej opiekunami ludu, o jego potrzebach zowodowych wiedzą nie z bezpośredniej obserwacji warunków pracy na wsi, ale z tak zwanych postulatów ludowych, to jest ze sformułowanych żądań. Z dotychczasowych rozważań wynika niewątpliwie, że chłop nasz sam do zrozumienia potrzeby komasacji, której nigdy nie widział, dojść nie może.

Kiedy u nas komasacja wartościowa zacznie się urzeczywistniać, będzie można widzieć jej rezultaty, pojawi się nowy postulat ludowy „komasacja" i wtenczas zainteresują się nią i posłowie ludowi. 3). Urzędnicy, którzy przeprowadzali komasację, twierdzą, że z chłopem naszym komasacji robić nie można. Sąd ich niewątpliwie kompetentny. A jednak wszędzie tam, gdzie ją wytyczyli, chłopi przyjęli ją z „entuzjazmem" bez cienia przymusu. Z „entuzjazmem", bo czyż nie jest to objaw entuzjazmu, gdy na 400 gospodarstw samodzielnych, do których należy około 1000 właścicieli prawnych, w kilka dni po wytyczeniu planu tylko 16 nie chce objąć nowych gruntów, a wszyscy inni idą odrazu orać wytyczone im kawałki i to przy komasacji nieracjonalnej i archaicznej? Zdanie ich należy brać tylko jako podkreślenie olbrzymich trudności, które czekają na rozwiązanie. 4). Jak można twierdzić, że wszędzie ją przyjęto z entuzjazmem, gdy w jednej gminie chłopi uzbroili się na jej spotkanie? Było to tak. Wobec kilkoletniego prowadzenia robót z przerwami chłop stracił wiarę w dojście do skutku komasacji, ale gdy mu ją nareszcie zaczęto tyczyć, był zupełnie spokojny. Przyjeżdża jeden „pan starszy" ze Lwowa. Jeden czy dwóch chłopów, którym wytyczono grunt nowy, zwrócili się do niego z prośbą o wytyczenie im gruntu w innem miejscu. Na wsi nic nie ujdzie baczności oka! Wytyczono mu kawałek w innem miejscu. Wśród gospodarzy rozpowszechniła się wiara, że o przydziale nowych gruntów decydują nietylko jakieś niezrozumiałe dla nich obliczenia i przepisy prawne, ale również i momenty przypadkowe, jak n. p. osobista interwencja.

Na tę wieść chłop rzekł krótko i węzłowato: „Komasacji nie będzie“. Ta okoliczność dowodzi, że każda reforma rolna, poruszająca podstawy warunków życia chłopa, musi być zgodną z właściwem człowiekowi uczuciem sprawiedliwości i nie zależną od żadnych ani niczyich ubocznych wpływów, bo inaczej solidarność chłopska uzbroi się nawet przeciwko ubóstwianym wodzom. Komasacja więc, a z nią i reforma rolna może dojść do skutku mimo obaw i niedowierzań ludzi wykształconych, bo nie są one, jak widzimy, rzeczowe. Najważniejsze jednak są zarzuty, które robi nam chłop. A różnią się one tem od innych, że są istotne i logiczne.

1). Chłop nie widzi możności skomasowania gruntów bez skrzywdzenia kogoś, a więc ewentualnie siebie. 2). Obawia się, że mimo wszystkich korzyści, otrzyma grunt w miejscu, którego sobie z rozmaitych powodów nie życzy, lub w jakości, do której nie przywykł. 3). Widząc ewentualne korzyści, widzi równocześnie wady jakiegokolwiek rozwiązania; obawia się, że dostanie grunt trudny do uprawy, grunt dobry w czasie suchym, ale zawodzący w czasie wilgotnym, lub naodwrót, że w roku posuchy lub słoty cały jego grunt wyda bardzo mało, podczas kiedy dotąd zawsze miał coś przynajmniej na kilku kawałkach. 3). Obawia się mylnych oszacowań i obliczeń, dzięki którym może być skrzywdzonym. 4). Obawia się, że otrzyma gruntu mniej niż miał, choć lepszy. 5). Że wytnie się z jego majątku potrzebny udział na różnorodne drogi i urządzenia gminne. 6). Że otrzymawszy grunt w jednem miejscu, będzie głodował w razie głodu. 7). Że otrzyma grunt daleko od domu, od pastwiska, od wody. 8). Nie ma zaufania, że biurokraci, którzy ostatecznie wypracują dla niego nowe grunta, zechcą i potrafią zdziałać coś wartościowego. 9). Obawia się kosztów, długiego zaburzenia w gospodarstwie i t. d.

Te i inne uwagi są istotne. Najistotniejszem jest jego przeświadczenie, że na obszarze, mającym n. p. 1500 hektarów, gdzie istniało 400 gospodarstw pierwotnych, t. j. nieracjonalnych, nie można zrobić komasacji wartościowej, t. j. wykroić nowych 400 gospodarstw racjonalnych. Obszar gminy, to nie kawał sukna jednakowej jakości. Są kawały ziemi wymarzone na gospodarstwo, ale są i takie, na których się nikt z całym swoim majątkiem osiedlić nie zechce; żadną pomysłowością nie poradzimy na to. Jest to trudność istotna i rzeczywista, utrudniająca komasację, a z nią wszelkie inne reformy. Ale trudność ta zniknie natychmiast,

gdy z góry postanowimy, że na dawnym obszarze gminy usadowimy tylko n. p. 90% mieszkańców, a 10% umieścimy na gruncie dokupionym. A my mamy do dyspozycji jeszcze zapas ziemi nierozparcelowany w Polsce. Jeżeli użyjemy na cele komasacji, to otwieramy drogę komasacji wartościowej, a z nią pełnej reformie. Ten dodatek ziemi daje komisji, układającej projekt komasacji, możność umieszczenia wszystkich bez wyjątku gospodarzy na dobrym kawałku ziemi, co stwarza odrazu przed nami nowe horyzonty. Jedna z istotnych trudności, utrzymująca barbarzyństwo we wsi polskiej, jest więc łatwą do wyeliminowania, ale pozostają jeszcze inne obawy chłopskie. Wyobraźmy sobie jednak na chwilę, że dajemy każdemu chłopu możność obrania sobie miejsca na swoje gospodarstwo. Czy, gdyby taka możność zaistniała, pozostaną i nadal zarzuty chłopa niewzruszone, będzie komasacja i nadal niewykonalną? Nie! Wiele innych, a może wszystkie istotne przeszkody komasacji przestałyby odrazu istnieć! Tak, ale czy my mamy taką możność? Właśnie! Łącząc w jednej chwili wszystkie rozrzucone paski i parcelki chłopskie, dzieląc patwisko gminne, znosząc serwituty, dodając gminie 10 do 15% ziemi, przeprowadzając zaraz konieczne melioracje, stwarzamy rzeczywiście idealną możność spełnienia wszystkich możliwych życzeń chłopskich, tę idealną chwilę, w której wszystkie niedomagania wiekowego rozwoju mogą pójść w zapomnienie, a zrodzić się może nowe, młode i zdolne do żywiołowego rozwoju nowoczesne gospodarstwo chłopskie w Polsce. Ta chwila „prawdziwego odrodzenia“, dająca miljonom ludu polskiego nowe warunki życia i pracy, podobnie jak operacja wracająca w ciągu kilkudziesięciu minut schorzałemu organizmowi możność powrotu do zupełnego zdrowia, lub jak ofenzywa wojenna, rozstrzygająca jednym atakiem o losach wojny, jest tą wartościową reformą rolną, wymagającą wprawdzie najwyższego wysiłku wszystkich władz duchowych narodu, ale usuwającą za jednym zamachem wszystkie istotne przyczyny naszego zastoju i barbarzyństwa i stwarzające dla każdego z nas i całego narodu zupełnie nowe widoki istnienia i rozwoju.

Ale czy to znowu nie fantazja złudna i przesada? Jeżeli zostawimy każdemu gospodarzowi swobodę wybrania sobie miejsca, to wszyscy rzucą się na najbliższe łany od domostw. Płonne obawy? Pod cudzą chałupę, stajnię lub stodołę nie pójdzie chętnie żaden gospodarz z gruntem swoim; na zagumniu więc

utrzymają się wyłącznie ci, których zabudowania przylegają bezpośrednio do zagumnia. Następny pas zostanie dla tych wszystkich, którzy nie mając własnych zaprzęgów, mają słuszne prawo, aby dostać grunt blisko domu. Ci wszyscy, którzy otrzymają grunt tuż pod starą wsią, będą mieli prawo wybrać sobie miejsce i dostaną wszystko, co im się należy, ale nic ponadto. Cały dodatek ziemi, który gmina będzie mogła sobie dokupić, może być nabyty tylko przez tych, którzy zostawią barbarzyńskie osiedle i pójdą na krańce wsi nowe tworzyć życie. Ci wszyscy dzielni, młodzi, zdrowi gospodarze, którzy czują w sobie zdolność i ochotę do pokonania trudów, związanych ze stwarzaniem gospodarstwa na nowem miejscu, będą mieli swobodę wybrania sobie gdziekolwiek miejsca na gospodarstwo i wyłączną możność dokupienia pewnej ilości gruntu w stosunku do tej ilości, którą z bezpośredniej bliskości od wsi wyniosą. Oni, usuwając się ze starej wsi z gruntem swoim, na krańce lub w dal, dają swej wiosce przez to możność celowego urządzenia i uporządkowania starego osiedla, a w nagrodę za to słusznie, aby tylko dla nich zarezerwowała ustawa prawo do kupna ziemi. Będą mogli sobie wybrać miejsce w swojej wsi, lub gdziekolwiek w Polsce, gdzie jest ziemia na sprzedaż, bo nie wszędzie w gminie jest jeszcze majątek większy do sprzedania. A więc są wsie, z których część mieszkańców będzie musiała wyjść na nowe osady, aby swej rodzinnej wsi ułatwić przeprowadzenie reformy. Ten fakt, że my mamy dziś w ręku rzeczywistą możność postawić każdego chłopa w Polsce przed alternatywą: „jeżeli gmina twoja przeprowadzi u siebie reformę, albo jeżeli sprzedasz spółce komasacyjnej swój grunt, możesz sobie sam dobrowolnie wybrać miejsce na gospodarstwo, w jednym kawałku w dawnej gminie lub gdziekolwiek w Polsce, gdzie ziemia jest na sprzedaż“, jest zjawiskiem niesłychanego znaczenia i wyzyskanie tego momentu z bezwzględnością, nie znoszącą najmniejszego oporu lub zaniedbania wyzyskania go, rozstrzygnie o naszej świetności lub dalszej, a może większej chińszczyźnie.

Aby móc ten historyczny moment w całej pełni pro publico bono wyzyskać, trzeba natychmiast zastanowić sprzedaż ziemi dla tych wszystkich, którzy reformy sami nie chcą i w niczem się do niej nie przyczyniają. Nabyć ziemię powinni mieć prawo tylko: 1) gmina lub spółki komasacyjne na cele reformy; 2) ci wszyscy, którzy w swojej gminie sprzedali wszystek swój

grunt spółce komasacyjnej na komasację. Żołnierz, wracający z frontu, któremu ustawa w jakikolwiek sposób zabezpieczy prawa do gruntu, będzie traktowany na równi z tymi, którzy grunt swój sprzedali spółce komasacyjnej.

Oczywiście bez trudu więc nie obejdzie się przy układaniu projektu komasacji i w tych warunkach, spory wynikną, komisji przypadnie rola rozjemcy. Dla ułatwienia rozwiązania trudności ku największej korzyści całej gminy może się wielce przyczynić dobra wola Rady gminnej, zarządzającej majątkiem gminnym. Przez zachęcenie większej liczby gospodarzy do przeniesienia się na dalsze grunta, redukują się trudności do minimum. Jeżeli więc w danym razie gmina odda do dyspozycji komisji n. p. jednę dziesiątą część swego pastwiska do wyłącznego rozdziału między tych, którzy na najdalsze pójdą zaułki, to we wsi najbardziej zagmatwanej utworzy ukwalifikowana komisja, współdziałająca z mężami zaufania ludności, warunki pracy i życia, z których korzysta Poznańczyk lub Duńczyk. Będą więc mogły zniknąć paski i szachownice, wielkie odległości, zgęszczenie chałup i t. d. Oczywiście, że projekt regulacji rzeki musi być wzięty pod uwagę i przy przydziale gruntów będzie uwzględnioną z góry trasa ewentualnego przekopu. Taksamo uwzględni projekt wszystkie meljoracje przewidziane, które ewentualnie później dopiero będą wykonane i zarezerwuje także grunt na nie. Przed kopaniem rowów już nie będzie trzeba prosić o zgodę kogokolwiek, bo grunt będzie przygotowany, tworząc własność funduszu meljoracyjnego państwa, powiatu lub gminy, w każdym razie nie prywatnej jednostki. Nie otrzyma chłop gruntu mniej niż miał, jeżeli gmina pokryje ze wspólnych gruntów zapotrzebowanie gruntu na drogi i gminne urządzenia.

Idąc tą drogą, ograniczymy do minimum ingerencję biurokraty, dla którego wysiłku umysłowego chłop nie ma szacunku, a natomiast ułatwimy urzędnikowi spełnienie swej roli, w której go nikt nie zastąpi, t. j. wykonanie szczegółów w myśl wyraźnych postanowień, jednolitej i logicznej ustawy.

A jak przedstawia się kwestja kosztów i czas trwania czynności? Komasacja najdoskonalsza będzie najtańszą i zajmie najmniej czasu na wykonanie. Im komasacja gorsza, tem droższa i tem dłużej musi trwać. Przy najlepszej komasacji, przy której każdy gospodarz otrzyma swój cały majątek w jednym komplecie, jest minimum pracy i minimum wydatków, a więc minimum kosztów

i czasu. Zachodzi tu podobieństwo z innem znanem zjawiskiem. Która studnia jest najtańszą? Najlepsza! Studnia artezyjska, z której bierze wodę chłop włoski, składająca się z rurki żelaznej wbitej w głąb ziemi na 30 do 60 metrów i nie psująca się nigdy a dająca zawsze zdrową wodę, tryskającą z pod skały na mocy własnego ciśnienia, przedstawia maksimum prostoty a minimum kosztów przy maksimum doskonałości. Podobnie reforma rolna. Na przeprowadzenie doskonałej reformy, sięgającej do podstaw życia każdego mieszkańca i każdego zaścianku, mamy potrzebne środki i jesteśmy aż nadto bogaci; na łatanie wiecznych dziur półśrodkami jesteśmy za ubodzy, bo to więcej kosztuje, choć nie daje rezultatów.

Obawy chłopa przed gradem usunie skutecznie kooperatywa ubezpieczenia przed gradem. Od obawy przed posuchą uwolni kooperatywne urządzenie do nawadniania pól na sposób poznański.

Pozostaje jeszcze zbadać tę kwestję w świetle cyfr. Galicję wschodnią wyłączamy na razie z pod rozważań, by nie gmatwać rozumowania.

Gospodarstw chłopskich mamy w Polsce właściwie 2 miljony 200 tysięcy, większych gospodarstw mamy około 15.000. Ziemi, należącej do większych gospodarzy ponad 100 ha mamy około 8 miljonów ha. Czy ją całą można rozparcelować? A więc i lasy? Nie! 3 miljony ha lasu w Polsce odliczmy odrazu. Pozostanie nam 5 miljonów ha ziemi. Ile ziemi zostawimy nadal w ręku dawnych właścicieli? Jeżeli po 100 ha, to 1.5 miljonów ha, jeżeli po 200 ha to 3 miljony. Przyjmijmy minimum 2 miljony ha, zostaną więc już tylko 3 miljony ha. Ile z tego z góry przeznaczyć na budzący się przemysł w Polsce? Samych cukrowni musimy utworzyć około 400. Dzieje amerykańskiej rafinerji nafty w Dziedzicach, którą chciano zbudować w Dworach koło Zatora, ale wobec trudności dojścia do zgody z właścicielami parcelek, zbudowano w Dziedzicach, gdzie stała się ona ośrodkiem germanizacji przed wojną, rozwiewa nadzieję, że wielki przemysł i na chłopskich wyrośnie parcelkach. Przeznaczmy więc z góry od 0.5 miljona, do 1 miljona ha ziemi dla przemysłu, zostanie nam więc tylko 2.5 miljonów ha do 2 miljonów ha. Żyjemy w okresie przebudowy miast na miasta w ogrodach, a nasze polskie miasteczka, urągające prymitywnym wymaganiom hygieny, porządku i estetyki, mają być pozbawione możności zreformowania się na sposób nowoczesny. Nie, dla miast w Polsce trzeba na różne cele minimum

0.5 miljona ha. Na ewentualną parcelację zostało nam więc już tylko 1.5 do 2 miljonów ha. A ile ziemi potrzeba nam na reformę rolną? Przyjmując, że jest w Polsce 15.000 gmin, wymagających reformy i przeznaczając dla nich przeciętnie po 100 ha na gminę, dojdziemy do 1.5 miljona ha ziemi, licząc po 150 ha dojdziemy do cyfry większej nad 2 miljony ha. Do tego rezultatu przyjdziemy jeszcze inną drogą. Obszar ziemi chłopskiej w Polsce wynosi 12 miljonów ha; dodając do niej 10%, otrzymamy 1.2 miljonów ha, dodając 15% około 2 miljonów ha. W każdym razie cały zapas ziemi wolnej potrzebny nam jest na reformę rolną, a na parcelację dziką w jakiejkolwiek formie, t. j. bez związku z reformą rolną, nie mamy ani skiby ziemi. A czem będzie ewentualne sprowadzenie parcelacji bez oparcia jej o reformę? Niszczeniem różdżki czarodziejskiej, której skinienie może nas uzdolnić do gigantycznego pochodu naprzód, skazywanie miljonów ludu polskiego, a z nim całego narodu na beznadziejne jutro, na chińszczyznę, której borykanie się z zabytkami barbarzyństwa ubezwładni nasze najlepsze siły i najwyższe wysiłki i skarze nas na dalszą wiekową młodszość cywilizacyjną w odróżnieniu od sąsiadów, idących żywiołowo naprzód.

Brak rozwoju lub słaby rozwój i zastój wywołują w każdym narodzie tendencję odśrodkową. W Polsce ujawniły się już raz ogólnie tendencje odśrodkowe w 17 i 18 wieku, jako skutek zastoju na drodze rozwojowej. Obyśmy nie padli ponownie kiedyś jego ofiarą!

Jak się przedstawiają w Galicji zachodniej powyższe rozważania w świetle cyfr. Bez lasów mamy w Galicji zachodniej gospodarstw ponad 100 ha około 200.000 ha. Na dwa tysiące gmin okrutnie przeludnionych i z wysokim procentem gospodarstw karłowatych, trzeba dla samej reformy przeszło 200.000 ha ziemi. Wobec tego na parcelację bez reformy nie ma w Galicji zachodniej już obecnie ani piędzi ziemi, a każdy hektar straconej ziemi bez planu utrudnia nam uzyskanie dobrych rezultatów przy reformie, a pośrednio dojście do skutku reformy w wielu gminach. Dlatego ostrożność z parcelowaniem w Galicji zachodniej jest nakazem bezwzględnej konieczności.

Jaki skutek może mieć wykonanie reformy na procent gospodarstw karłowatych? Przez sam fakt racjonalnego scalania gospodarstw przechodzi część ich nie dająca warunków do cywilizowanego życia jednej rodziny, a więc karłowatych odrazu do wyższej grupy, bo wydajność ich wzrośnie przynajmniej w dwój-

nasób. Przez otwarcie im drogi do stopniowania intenzywności uprawy przejdą dzielniejsze gospodarstwa nawet bardzo małe do grupy średnich. Wprowadzając nawodnienie gruntów wedle wzorów z Poznańskiego i osuszając gruntownie wszystkie bagna i moczary, usuwamy ten problem ziemi polskiej dziś tak aktualny.

Na przeprowadzenie takiej reformy w Polsce potrzeba nam kilkudziesięciu lat przy najwyższym wysiłku u wszystkich władz duchowych narodu. Wykonawcami jej muszą być organy i kooperatywy specjalistów, umiejących pracować dobrze, tanio i szybko. Budowa tego wszystkiego, co dla przeniesionych gospodarstw jest koniecznem, powinna być skończoną w ciągu 2 lub 3 lat najdalej po komasacji, najpierw oczywiście studnie (tam gdzie można, artezyjskie), dalej nawodnienie i osuszanie, ewentualnie kolejki małe, sady, gnojownie nowoczesne i cały świat kooperatyw wiejskich.

W razie wyłonienia się wątpliwości co do wykonalności przedstawionych poczynań zastosujmy metodę Lloyda George'a. Robotnicy angielscy przedstawili mu przed rokiem żądanie upaństwowienia kopalń węgla. Trzeźwy Anglik kupił dwie kopalnie węgla i oddał je w zarząd kooperatyw robotników, wskazanych przez delegatów robotniczych. Po zebranych doświadczeniach nie ponawiali robotnicy angielscy projektu upaństwowienia kopalń.

Jest niewątpliwą potrzeba, aby dać możność w Polsce rozmaitym projektom przeprowadzenia reformy rolnej ujawnić swoją wartość praktyczną w realizowaniu szczegółów. Metoda angielska najprędzej i najpewniej wyprowadzi nas z błędnego koła. Doprowadzenie do skutku pełnej reformy rolnej będzie pewnego rodzaju operacją i musi być wykonaną tak, jak nowoczesne operacje chirurgiczne lub ofenzywy z ostatnich lat wojny, pod umiejętnem kierownictwem, zgodne z zasadą nowoczesnego podziału pracy, przy użyciu najdoskonalszych metod i narzędzi pracy i bezwzględnem wykonaniu zamierzonych czynności.

Przysłowiowa i rzeczywista nieporadność polska i wyśmiewane w świecie nasze niedołęstwo musi zejść przy przeprowadzeniu reformy rolnej na zawsze do grobu.

Czy przeprowadzono już gdziekolwiek w świecie podobną reformę rolną? Tak! Na początku 19 wieku przeprowadził Prusak w ziemiach zagrabionych Polsce reformę, po której otrzymał chłop polski w zamian za wszystkie swoje staropolskie zagony i zagłówki, za wszystkie zniesione służebności, za udział w gruntach

wspólnych i w pastwisku gminnem, które zostały przy reformie zniesione, jeden ekwiwalent, do którego dołączono udział z gruntu dworskiego. Tą drogą Poznańczyk osiadł na nowoczesnem gospodarstwie.

Napoleon Wielki, świadomy łatwości osiągania zdumiewających sukcesów przy bezwzględnem użyciu celowej metody, zreformował radykalniej i gruntowniej plan ulic i zabudowań Paryża. Na gruzach kamienic i wil, umyślnie rozwalonych w wielkiej liczbie, otworzył drogi i wolne przestrzenie. Bez tej regulacji byłby Paryż nie ciekawem miastem dla obcych, jak n. p. Warszawa dziś. Dzięki reformie napoleońskiej jest i będzie Paryż jeszcze długo pierwszem miastem świata mimo gigantycznego rozwoju innych stolic większych od niego.

Na początku 20 wieku stworzył genjalny Stołypin w Rosji wiele nowoczesnych osad. Między Kamieńcem Podolskim a Płoskirowem, niedaleko historycznych Jarmuliniec, odbijają od innych ukraińskich wsi, rażących swem barbarzyństwem, europejskie osady utworzone drogą reformy rolnej.

To, co zdziałał Prusak na ziemiach polskich na początku 19 wieku, a Rosjanin na polskiej dawnej Ukrainie na początku 20 wieku, to jest wykonalnem dla Polaka we własnej Ojczyźnie dzisiaj!

Jako wieczyste świadectwo dziejów starczą nieliczne wsie, stworzone w dobie stołypinowskiej reformy w odmęcie tysięcy pierwotnych wsi ukraińskich, w których doszła do skutku w kilka lat później reforma rolna bolszewicka. Nawet zwolennik bolszewizmu nie zaprzeczy, że w tym wypadku reforma późniejsza była krokiem wstecz, wobec wcześniejszej stołypinowskiej.

Czem była reforma rolna bolszewicka? Parcelacją! Niczem więcej, ale i niczem mniej! Chłop dorzucił do swoich licznych, rozrzuconych kawałków ziemi jeszcze jedno źródło swego barbarzyństwa, tkwiącego w archaicznym ustroju wsi, nie usunął ani niczem warunków swej pracy nie poprawił, a zniszczył możność zreformowania swej ojcowizny w łatwy sposób w przyszłości.

Nie jest rzeczą wykluczoną, że Polska zrobi przez nieoględność krok wstecz wobec tego, co zdziałał Prusak w Polsce przed stu laty i że żołnierz nasz, który swem bohaterstwem uratował Ojczyznę od bolszewickiego najazdu, będzie ponosił skutki ich filozofji w domu, gdy po bezmyślnem rozparcelowaniu dworskiej ziemi trudną będzie reforma jego ojcowizny, a dola jego zostanie

spetryfikowaną. Na samą myśl o tem budzi się żal w duszy do tej właściwości naszej, że opamiętujemy się dopiero po szkodzie.

Oby obudziła się w ludzie i narodzie świadomość, że wszystkie dotychczasowe projekty i przepisy o reformie rolnej w Polsce są próbami reformy w niewłaściwem tego słowa znaczeniu, niosącej ludowi i narodowi nieszczęście nie przez parcelację, bo ta istniała już dawniej, ale przez niszczenie tajemniczej potęgi, tkwiącej w nierozparcelowanej ziemi, przy pomocy której można każdą wieś polską zreformować i otrzeźwienie, że nie tędy droga!

Polska zreformowana od podstaw, „odrodzona" w całem tego słowa znaczeniu, obejmie znowu dawną swoją historyczną rolę: promieniowania kulturą na wschód.

Myśl przewodnia tak pojętej reformy rolnej stwarza naturalną drogę do porozumienia w Galicji wschodniej i warunki sprzyjające rozwojowi europejskich kooperatyw, których zakorzenienie się u nas, jest dalszych koniecznym warunkiem rzeczywistego odrodzenia.

Miłość ojczyzny nie znosi tolerowania zacofania w Ojczyźnie. Żołnierz obronił jej granice zewnętrzne od jarzma najazdu. Jest rzeczą obywateli oswobodzić pracę ludu, podstawę istnienia narodu z jarzma niedołęstwa w tempie równie błyskawicznem, jak błyskawicznym był atak żołnierza i choćby z nakładem kosztów i ofiar materjalnych wziętych na wagę krwi, życia i straconego szczęścia rodzinnego, bohaterów poległych lub okrutnie poćwiartowanych, bohaterów rzeczywistych, choć nieznanych.

W jednej wsi, w głębokiej Ukrainie, był szpital, urządzony w sposób nowoczesny, zaopatrzony w personal wyszkolony, urządzenia hygieniczne, przybory pielęgniarskie i środki lecznicze. W czasie „Wielkiej Doby" przeprowadzono w tej wsi reformę rolną w myśl zgodnych rad i wskazówek przyjaciół ludu, jego opiekunów i czynnych przywódców ruchu ludowego. Zgodnie z ścisłym i konsekwentnym programem twórców idei reformy rozparcelowano ziemię i szpital. Wszystkie części składowe szpitala znalazły u ludu zastosowanie. Urządzenie hygieniczne i strzępy bielizny szpitalnej poszło do gospodarstwa lub do komory chłopa, blachę z dachu sprzedano rzemieślnikowi pobliskiego miasteczka, belki na opał, cegła i rzeźby kamienne z tajemniczemi łacińskiemi napisami na zwietrzenie! A ogród, przylegający do szpitala, prze-

znaczony dawniej dla chorych, zaludnił się niespełna w rok potem rzędami mogił, kryjących w swem łonie ofiary tyfusu, wzięte z pośród ludu, uszczęśliwionego właśnie dokonaniem reformy, która była według absolutnej opinji przewódców, zupełnie mu oddanych, najdonioślejszą reformą, jaką kiedykolwiek i gdziekolwiek w świecie przeprowadzono, a zarazem najwyższym wyrazem najnowszej doskonałości, z której wiodła otwarta droga już tylko do.... Królestwa niebieskiego.

Nietylko w Niniwie pokryły mogiły piasku dorobek wiekowej kultury pokoleń! Demagogia jest nowoczesną drogą do pierwotnego barbarzyństwa.

Dwojaką może być reforma rolna. Celową i cywilizowaną, albo bezmyślną i barbarzyńską. Pierwsza usuwa źródła dzisiejszego barbarzyństwa i stwarza warunki wszechstronnego rozwoju, inna uwiecznia i przygważdża barbarzyństwo dzisiejsze, nie stwarzając istotnej zmiany.

Wybierajmy! Wolny nasz wybór rozstrzygnie o wiekowej przyszłości narodu.

DR JÓZEF WŁODEK.

Emigracja polska w Argentynie wobec sprawy polskiej w czasie wojny.

Sprawa polska w dobie toczącej się wojny europejskiej i następnie polsko-rosyjskiej, oddziałała także w odpowiedni sposób na umysły polskiej emigracji w Argentynie. W życiu politycznem emigracji polskiej w Argentynie w czasie wojny możnaby odróżnić trzy okresy, a mianowicie:

1. od początku wojny, aż do utworzenia Polskiego Komitetu Narodowego w Buenos Aires, t. j. do 10 marca 1918.

2. od utworzenia Komitetu Narodowego w Buenos Aires, aż do otwarcia konsulatu Rzeczypospolitej w Buenos Aires, i:

3. od otwarcia konsulatu aż do chwili obecnej.

Polska emigracja w Argentynie składała się z rolników-kolonistów w terytorjum Misiones, robotników i rzemieślników w róż-

nych miastach Argentyny, głównie w Buenos Aires i nielicznej inteligencji, przeważnie w Buenos Aires. Rolnicy-koloniści mniej byli ruchliwi, a więcej czynności wykazywała warstwa robotnicza i inteligencja.

Ponadto w Argentynie żyje znaczna ilość żydów, pochodzących z terytorjów Polski, którzy w razie potrzeby uważają się za „obywateli polskich".

Ilościowo możnaby podać następujące cyfry szacunkowe:

A. Polacy: 1. Rzym.-kat. i grecko-kat. wyznania w terytorjum Misiones, na koloniach rolniczych . . . . do 10.000

2. W różnych miastach Argentyny, jak: Buenos Aires, La Plata-Berisso, Rosario do Sta Fé, San Juan, Cordoba, Comodoro Rivadavia, Santa Cruz, oraz po różnych dworach „Estancia'ch" . . do 4.000

Razem Polaków . do 14.000

B. Żydzi:

Z wielkiej stosunkowo ilości żydów, pochodzących z terytorjum polskiego, a zamieszkałych w różnych miastach Argentyny, głównie w Buenos Aires, możnaby szacunkowo przyjąć, że to polskie „obywatelstwo" może pretendować około 10.000

Większość bowiem, albo zupełnie nie troszczy się o swoje obywatelstwo, albo przyjęła już obywatelstwo argentyńskie, lub zatrzymała rosyjskie.

I. OKRES.

Od wybuchu wojny, aż do utworzenia Komitetu narodowego.

Polskie życie narodowe w Argentynie.

Życie polityczne skupiało się głównie w Buenos Aires, jako stolicy republiki nad La Platą. Ośrodkiem życia politycznego były stowarzyszenia polskie. — W Buenos Aires istniały trzy: „Tow. polskie", Tow. socj.-robotn. „Równość" i „Tow. wzajemnej pomocy". Na prowincji zaś istniały Towarzystwa polskie w Berisso pod La Platą, w Apostoles, w Azarze, i w Corpus w Misiones. „Towarzystwo polskie" i Towarzystwo „Równość" w Buenos Ai-

res po różnych walkach, rozłamach i występowaniach członków, złączyły się razem w jedno w roku 1919, przyjmując nazwę: Tow. „Wolna Polska". Ponadto istniało w Buenos Aires w czasie wojny Tow. „Koło polskie", które miało być zrzeszeniem inteligencji. Tej zaś było tak mało i tak różniła się swojemi poglądami, że członkowie nie mogli się wzajemnie ze sobą znosić i żywot tego towarzystwa był bardzo krótki. Politycznie w „Towarzystwie polskiem" ujawniały się sympatje „aliadofilskie", inspirowane przez żonatego z Francuzką dra Gustawa Jasińskiego, zaś w „Kole polskiem" miała być przeciwwaga przeciwko drowi Jasińskiemu i organizatorami tego zrzeszenia byli pp.: adwokat Ludwik Gano, inż. Rechniewski, ks. Zakrzewski, Kutzlebowa i inni.

Początkowo orjentacje polityczne nie były tu skrystalizowane. W roku 1914 i 1915 nieśmiało dyskutowano odezwę w. ks. M. Mikołajewicza i myśl kolonji polskiej streszczała się w słowach: „coś z tego będzie". Brak kontaktu z krajem i wiadomości o wydarzeniach i biegu myśli politycznej w Ojczyźnie, nie pozwalały kolonji polskiej na zorjentowanie się i na zajęcie odpowiedniego stanowiska. Dopiero po akcie 5 listopada 1916 r. ideje polityczne zaczęły coraz to silniej wnikać w umysły członków kolonji polskiej w Buenos Aires i wnet wytworzyły się dwa zdecydowane sobie wrogie obozy, pod hasłem „aljadofilskiem" i tak zwanem „germanofilskiem". Pierwszy motyw walki dała zaangażowana głównie przez członków „Koła polskiego" uroczystość Te Deum, za akt 5 listopada 1916, przy współudziale oficjalnych reprezentantów mocarstw centralnych. Po uroczystości tej ci, których łączyła myśl niepodległości Polski pod skrzydłami aljadów względnie carskiej Rosji, rzucili się na swoich przeciwników. „Towarzystwo Polskie" odezwą, zredagowaną przez dra Gustawa Jasińskiego, zaprotestowało przeciwko tej „germanofilskiej uroczystości", a drugie Towarzystwo „Równość" wymyślało znów „aljadofilom", nazywając ich „moskalofilami" itd. W ciągu wojny odbył się szereg zebrań w istniejących Towarzystwach polskich i kilka mniej lub więcej licznych wieców, gdzie domorośli politycy uczyli się dyskutować, wzajemnie się o drobiazgi kłócąc. W kolonjach rolniczych w terytorjum Misiones myśli polityczne mniej interesowały zajętych ciężką pracą rolną kolonistów i swoje zdania wypowiadano tam na posiedzeniach Towarzystw polskich, zazwyczaj na wnioski i myśli nasuwane im przez organizacje polskie w Buenos Aires.

Organizacja wojska polskiego.

Myśl organizacji polskich sił zbrojnych na terenie Argentyny sięga jeszcze okresu tuż przedwojennego. W porozumieniu z członkami kolonji polskiej w Brazylji, rzucono myśl organizacji strzeleckiej także na terenie Argentyny. Niezgoda wszystkich trzech Towarzystw polskich: „Równość“, „Tow. polskie“ i „Tow. wzajemnej pomocy“ spowodowała, że każde z nich zaczęło coś robić, i żadne nic nie zrobiło.

Już w czasie wojny, z ramienia Polskiej komisji wojskowej Ameryki południowej na terenie Argentyny miał działać „komisarz“ B. Dardziński, „mianowany“ podobno przez ob. Rodziewicza z Parany. Poza zbieraniem składek na fundusz wojskowy nic pozytywnego nie zdziałano.

Myśl organizacji wojskowej podjęto z chwilą nadejścia do Argentyny wiadomości o tworzeniu armji polskiej we Francji na zasadzie dekretu rządu francuskiego z dnia 4 czerwca 1917 roku. I tym razem akcja organizacji wojska nie wzbudziła wielkiego zainteresowania i ujawniły się przytem odrazu dwa rozbieżne kierunki: jeden streszczał się w bezwzględnem oddaniu się na usługi Francji, drugi zachowywał rezerwę, twierdząc, że Polacy w swojej historji już dość bili się naprózno za obcych i młode siły naszego społeczeństwa należy oszczędzać na usługi rządu polskiego, wówczas, gdy sprawa niepodległości Polski będzie zdecydowanie i realnie już postawioną. Akcja ożywiła się nieco z chwilą przyjazdu do Rio de Janeiro porucznika Abczyńskiego, jako delegata polskiej armji we Francji. Tenże na żądanie grupy „aljadofilów“ przysłał ogólne instrukcje działalności, podsuwając równocześnie myśl utworzenia w Buenos Aires Polskiego Komitetu narodowego, jako wyraziciela opinji polskiej emigracji w Argentynie i reprezentanta naszych interesów politycznych. Na skutek poruszonej przez niego myśli, koniec roku 1917 i początek 1918 wypełniały przygotowania do ogólno-polskiego wiecu w Buenos Aires i do dalszej organizacji wojskowej. Akcja organizacyjna do wojska polskiego napotykała także na techniczne trudności z powodu braku instrukcji w poselstwie francuskiem w Buenos Aires w przedmiocie transportu ochotników, ich zaopatrzenia i t. p. Koniec końcem z Argentyny wyjechało do Francji tylko 2 ochotników.

Organizacja ogólno-polskiego wiecu w Buenos Aires była tak pomyślana, ażeby wzięli w nim udział reprezentanci wszystkich

skupień polskich w Argentynie. Program wiecu ustalono naprzód, ułożono tekst mających się powziąć tam uchwał i zakomunikowano je wszystkim, z prośbą o przybycie na wiec lub pisemne zadeklarowanie zgody, w razie niemożności przyjazdu.

II. OKRES.

Działalność Polskiego Komitetu narodowego w Buenos Aires.

Ogólno polskim wiecem w Buenos Aires, który odbył się dnia 10 marca 1918 r., rozpoczyna się drugi okres. Na wiecu tym było obecnych 150 osób, a z tych, którzy nie mogli przybyć osobiście, przedłożono 9 pisemnych deklaracyj z poszczególnych stowarzyszeń i skupień polskich, w których zupełnie lub z zastrzeżeniami zgadzano się na powziąć się mające uchwały. Wiec otworzył imieniem Komisji organizacyjnej p. dr Jasiński, przewodniczył p. Hofman. Po dyskusji uchwalono następujące rezolucje:

1. żądanie odbudowania Polski niepodległej i zjednoczonej z dostępem do morza;
2. wybór Komitetu narodowego polskiego jako przedstawiciela interesów polskich w Argentynie;
3. popieranie tworzenia wojska polskiego we Francji jako zarodka przyszłych polskich sił wojskowych;
4. protest przeciwko nowoutworzonej granicy Ukrainy, zagarniającej polskie ziemie.

Następnie dokonano wyboru członków Komitetu, który po ukonstytuowaniu się, przedstawiał następujący skład:

Prezes: dr Gustaw Jasiński.
Vice-prezes: p. E. Palonkowski.
Sekretarz: p. W. Mikulski.
Kasjer: p. A. Dąbrowska.
Członkowie: p. Truszkowski, Tomaszewski i L. Swidzińska.

Siedzibą Komitetu narodowego polskiego, jako instytucji centralnej, było Buenos Aires, a na prowincji utworzono filje, mianowicie: Azara, Apostoles, Corpus i Berisso.

Występy zewnętrzne Komitetu.

Początkowo działalność utworzonego Polskiego Komitetu narodowego w Buenos Aires polegała na notyfikowaniu swego po-

wstania Komitetowi narodowemu w Paryżu, który przyjął to do zatwierdzającej wiadomości i wyraził z tego czynu zadowolenie i zachętę do pracy. Następnie zawiadomiono o tem poselstwa w Buenos Aires: francuskie, angielskie, amerykańskie i belgijskie, które przyjęły to do wiadomości i z uprzejmością życzyły powodzenia w pracy.

Komitet wszedł dalej w kontakt z pokrewnemi sobie instytucjami w Brazylji, a mianowicie: Polskim Komitetem centralnym w Kurytybie i Komitetem narodowym polskim w Rio de Janeiro. Następnie Komitet wziął oficjalny udział w manifestacji na rzecz Francji dnia 14 lipca 1918 i w szeregu innych drobniejszych uroczystości. W dniu 12 lipca 1916 wystosował Komitet podziękowanie do prezydenta Republiki argentyńskiej, p. Irygoyena, za uznanie praw Polski do niepodległości.

Organizacja słowiańska.

Z inicjatywy tegoż Komitetu doszło do skupienia trzech narodowości słowiańskich na terenie Buenos Aires, a mianowicie: polskiej, czeskiej i jugosłowiańskiej. Reprezentanci tych trzech Towarzystw, a mianowicie: z Komitetu narod. polsk. dr Gustaw Jasiński i Władysław Mikulski, ze strony czeskiej z „Alianza de los paises Checos“ inż. Franciszek Zelenka i Miloš Suchan i ze strony jugosłowiańskiej z „Dofonsa Nacional Jugoslava“ architekt Józef Markowić i Michał Mihanowić, podpisali dnia 8 czerwca 1918 r. „protokół konstytucyjny“, stwarzając tak zwany „Komitet centralny organizacyj narodowych polskiej, czeskiej i jugosłowiańskiej w Republice argentyńskiej“ („Comite Central de las Organizaciones Nacionales Polaca, Checa e Yugoeslava en la Republica Argentina“). Celem tej organizacji było ujednostajnić na terenie Argentyny działalność poszczególnych organizacyj słowiańskich w dążeniach do wolności. Komitet ten podał do wiadomości swoje ukonstytuowanie reprezentantom państw sprzymierzonych i zaznaczył swoją egzystencję kilku formalnemi występami. Z powodu odmiennych dążeń politycznych i terytorjalnych tych trzech narodowości, które miały formować się na gruzach rozlatującej się Austrji, ów Komitet centralny słowiański nie wykazał dostatecznej spójności i w chwili upadku mocarstw centralnych przestał działać.

Wydawanie legitymacyj.

Aby ułatwić podróżowanie obywatelom polskim i dać polecenie w poszukiwaniu pracy, Komitet narodowy polski w Buenos Aires wydawał także odpowiednie zaświadczenia narodowości, które w porozumieniu z poselstwem, względnie konsulatem francuskim, chwilowo także włoskim, stanowiły podstawę do wizy konsularnej lub paszportu. Działalność ta zresztą, oddająca Polakom poważne usługi, stała się potem powodem przykrych i pożałowania godnych walk. Mianowicie Komitet, już po wycofaniu się zeń dra Jasińskiego w r. 1919, zabiegał w argentyńskiem ministerstwie spraw zagranicznych o przyznanie mu atrybucyj konsularnych, aż do chwili przyjazdu polskiego konsula. Argentyńskie minist. spraw zagr. z natury rzeczy takiego uprawnienia Komitetowi przyznać nie mogło, ale Komitet nie zrozumiawszy odnośnego pisma, „wybrał i desygnował" na konsula p. inż. Kazimierza Rechniewskiego. Obudziło to apetyty innych, uważających się za równie godnych lub godniejszych do piastowania tej godności.... do ubiegania się o to stanowisko. Rywalizacja i różne osobiste intrygi, przy wmieszaniu do tego przedstawicieli obcych państw, były nieprzyjemnym i przykrym incydentem, wynikłym z działalności Komitetu, raczej z nieświadomości, niż ze złej woli.

Działalność filantropijna Komitetu.

Obok tego Komitet rowinął działalność filantropijną, głównie w gronie swoich politycznych przyjaciół. Zebrane z dobrowolnych składek, loterji fantowej i t. d. sumy, przekazano do Europy na cele głodnych w Polsce i częściowo na organizację armji polskiej we Francji.

Cyfrowo obraz tej działalności przedstawia się następująco:

dnia 1 X 1918 przesłano na ręce Komitetu narodowego w Paryżu (2/3 dla Komitetu w Vevey) a 1/3 na potrzeby armji polskiej w Francji . .	fr.	3.000·—
dnia 3 II. 1916 na ręce Komitetu narodowego w Paryżu	„	2.166·50
w kwietniu 1920 na głodnych w Polsce na ręce minist. spraw zagranicznych	„	5.437·30
Razem . .	fr.	10.603·80

która to suma odpowiada w monecie argentyńskiej kwocie S 2.214·20 (pezów papierowych).

Rok 1919.

Po upadku mocarstw centralnych i ogłoszeniu niepodległości Polski, rola Komitetu właściwie się skończyła. Różne miejscowe i osobiste tarcia i nieporozumienia skłoniły dra Jasińskiego do wycofania się z Komitetu z końcem roku 1918. Zastępował go następnie p. Palonkowski, a w lipcu 1919 wybrano przewodniczącym p. Truszkowskiego. Poza akcją wydawania legitymacyj w ciągu tego roku, Komitet zaznaczył kilkakrotnie swoją egzystencję głównie w prasie, uświadamiając społeczeństwo argentyńskie o Polsce. Nagonka Żydów na społeczeństwo polskie i rozsiewane w Argentynie fałszywe pogłoski o rzekomych pogromach żydowskich w Polsce, dały Żydom w Argentynie powód do urządzenia w dniu 27 lipca 1919 wiecu „protestującego przeciwko pogromom polskim". Były to te wydarzenia, na skutek których swego czasu p. Morgenthau z północnej Ameryki przyjeżdżał do Polski. Komitet, dla zaprotestowania przeciwko tej nagonce żydowskiej na Polaków, wydał w sierpniu 1919 odezwę w języku hiszpańskim, zatytułowaną: „Manifesto de la colonia Polaca al gran Pueblo Argentino en demanda de justicia" (Manifest kolonji polskiej do wielkiego narodu argentyńskiego w obronie sprawiedliwości).

W manifeście tym, wydanym nakładem p. Władysława Szulca, w dwóch tysiącach egzemplarzy, zamieszczono wyjaśnienia o kwestji żydowskiej w Polsce i na podstawie różnych materjałów i cytatów, stwierdzono bezpodstawność krzyków żydowskich. Wydanie takiej odezwy w Buenos Aires było tem bardziej potrzebne, że tutaj pod mianem „Polaco" rozumiano bardzo często Żyda, z powodu licznej tu kolonji żydowskiej, pochodzącej z teryotorjum polskiego.

Prasa polska w Argentynie.

Mówiąc o działalności emigracji polskiej w Argentynie w czasie wojny, nie można pominąć prasy. Szczupła stosunkowo ilość Polaków i ich rozrzucenie a małe uświadomienie utrudniały egzystencję polskiego czasopisma, mającego nadto do pokonania szereg trudności technicznych, z brakiem polskich czcionek, polskiego zecera i t. p.

W początkach wojny wychodziło w Buenos Aires czasopismo polskie „Echo Polskie". Redagował je najpierw p. Olszewski, następnie p. Paczyński. W r. 1915 przestało wychodzić, a nowe

czasopismo „W i a d o m o ś c i P o l s k i e“ rozpoczął redagować w sierpniu 1917 p. dr Gustaw Jasiński. To pismo o zdecydowanym kierunku aliadofilskim, miało na celu obok obrony sprawy polskiej, między innemi także popieranie interesów aljantów, oraz agitacji za organizacją wojska polskiego we Francji. Było również organem K o m i t e t u n a r o d o w e g o w Buenos Aires, i z chwilą wycofania się p. dra Jasińskiego z Komitetu, t. j. z końcem roku 1918, przestało wychodzić.

Od roku 1919 wychodzi „S ł o w o P o l s k i e“, dwutygodnik, redagowany przez Wołyniaka, b. administratora kolonij polskich w teryotorjum Misiones, p. Józefa Białosteckiego. Musi walczyć z temi samemi trudnościami technicznemi, co i poprzednie czasopisma. Pod względem kierunku politycznego jest zbliżone do obozu konserwatywnego-klerykalnego i nie znajduje też wskutek tego dostatecznej sympatji w sferach robotniczych i wolnomyślniejszych. Mimo wszystko, kolonja polska odczuwa zawsze potrzebę polskiego czasopisma, większość jednak nie poczuwa się do obowiązku płacenia prenumeraty.

III. OKRES.

Od przyjazdu do Buenos Aires konsula Rzeczypospolitej, do chwili obecnej.

Z chwilą przyjazdu do Buenos Aires wicekonsula Rzeczypospolitej, p. Kazimierza Reychmana i otworzenia w styczniu 1920 biur konsulatu, istnienie Komitetu, jako reprezentanta interesów politycznych kolonji polskiej w Argentynie, było bezprzedmiotowem. Komitet też na posiedzeniu w dniu 6 stycznia 1920 uchwalił swoje rozwiązanie i likwidację.

Mianowanie w Buenos Aires konsulem generalnym honorowym, miejscowego kupca en gros Poznaniaka, p. Władysława Szulca, wywołało różne intrygi miejscowych członków kolonji polskiej, pod preteksem orjentacji „germanofilskiej“ i „aliadofilskiej“, które w ich umysłach plątały się jeszcze do miesięcy letnich roku 1920. Dużo było przy tem osobistej zawiści i zawiedzionych nadziei. Sypały się po kraju protesty, pisma i telegramy. Powierzenie p. Reychmanowi w lipcu 1920 innego stanowiska w Rio de Janeiro i równoczesny wyjazd do Europy p. Szulca na kilka miesięcy, a objęcie kierownictwa konsulatu w Buenos Aires przez dra Włodka, położyło kres mieszaniu się kolonji do nieswoich rzeczy.

Druga połowa roku 1920 była wypełnioną humanitarną działalnością całej kolonji polskiej, skupionej pod patronatem konsulatu. Emigracja polska nad La Platą nie mogąc wziąć czynnego udziału w zmaganiach się narodu polskiego w walce o obronę niepodległości, chciała przyjść bodaj z materjalną pomocą dla ofiar wojny i tem zamanifestować swoje dla Ojczyzny uczucia i wspólność duchową z macierzą. Dla akcji tej powstały lokalne komitety w następujących miejscowościach: Buenos Aires, Apostoles, Azara, Berisso, Bompland, Corpus, Comodoro Rivadavia, Sta Cruz i t. d. Było to niewątpliwie pierwsze złączenie się całej emigracji polskiej w Argentynie, dla tego wzniosłego celu i niejako odbiciem naszej jedności narodowej w kraju, w chwili, gdy wróg stał pod bramami Warszawy.

Z działalności wszystkich komitetów polskich w Argentynie, w ciągu drugiej połowy roku 1920 zebrano do dnia 31 grudnia 1920 sumę pezów arg. S 8.602·42 i z tego przekazano w tymże czasie do Polski franków franc. 45.450·— na ręce Rady obrony narodowej i min. pracy i opieki społecznej, na cele wdów i sierót, pozostałych po poległych obrońcach ojczyzny. Część funduszów przeznaczono także na cele Śląska i Wilna. Kolonja polska nad La Platą chciała w ten sposób zamanifestować wobec rodaków w ojczyźnie, że rozumieją znaczenie walki o te prastare ziemie polskie.

W ciągu pierwszych dwóch miesięcy 1921 wpłynęło jeszcze na te same cele dalszych S 509.50.

Ku końcowi roku 1920 można było zauważyć zupełne uspokojenie umysłów i wywietrzenie z głowy dawnych orjentacyj „aliadofilskich“ i „germanofilskich“. Uspokojone umysły przekonały się powoli, że dzisiaj ważniejszą dla nas jest orjentacja polska, polityki prowadzonej przez kompetentne organa rządu polskiego w Ojczyźnie, aniżeli interesy, choćby najbardziej zaprzyjaźnionych państw.

Bolszewizm w kołach emigracji polskiej.

Wreszcie dla całości trzeba wspomnieć także o ideach bolszewickich, które niestety, dotarły także do Argentyny. W umysłach polskich natrafiły jednak na grunt mało podatny. Usiłowania szczepienia idei Trockiego zamanifestowali nieliczni członkowie kolonji polskiej w Buenos Aires i w Berisso. Dali się wziąć na lep agitacji i różnych obiecanek, nikt bowiem z nich nie wnikał

głębiej w znaczenie ruchu bolszewickiego, dążącego do zaprowadzenia nowego porządku społecznego i gospodarczego. Nie określona bliżej „Organizacja polskich robotników w Berisso“ wydała w roku 1918 agitacyjną odezwę za bolszewizmem, zredagowaną w najfatalniejszym języku polskim, zapewne przez jakiegoś Żyda rosyjskiego. Plątające się po głowie niektórych robotników ideje bolszewickie odżyły nieco, gdy armja bolszewicka stała pod bramami Warszawy. Podobno kilku robotników polskich brało nawet udział w demonstracji na cześć bolszewickiej Rosji w dniu 17 sierpnia 1920, gdy nadeszła do Buenos Aires fałszywa, ze źródeł niemieckich pochodząca wiadomość, o upadku Warszawy. Klęska bolszewickiej armji i skupienie się całej emigracji na gruncie narodowym, odosobniło tutejszych kilku „bolszewików“ i ideje Trockiego dość szybko wietrzeją. Dodatnio w tym kierunku wpływa także uchwalona w styczniu 1921 na kongresie argentyńskiej partji socjalistycznej rezolucja, przeciwko międzynarodówce moskiewskiej.

Buenos Aires, w lutym 1921.

PROF. FRANCISZEK ĆWIKOWSKI.

Rys historji ludu wiejskiego w Polsce.

Ustrój społeczny na ziemiach polskich w czasach przedhistorycznych był, jak u wszystkich ówczesnych Słowian, patrjarchalny. Podstawą organizacji były rody, oparte na pokrewieństwie, t. j. na pochodzeniu od wspólnego praojca. Wszyscy, należący do rodu, byli równi i wolni. Najwyższą władzą był wiec, w którym brali udział wszyscy dorośli członkowie. Uchwały wiecu wykonywał najstarszy z rodu, zwany starostą lub żupanem. Ziemia, którą zajmuje ród, jest wspólną jego własnością, tylko narzędzia pracy są własnością osobistą. Kto nie należał do rodu, był pozbawiony ochrony i swobody i taki tracił wolność. Był on własnością wspólną rodu albo jednostki. Byli to przedewszystkiem jeńcy wojenni i ludzie, którzy się dopuścili zbrodni.

Sąsiednie, pokrewne rody łączyły się w plemiona. Pierwotnie jednak łączność ta była bardzo luźna. Polegała, zdaje się, jedynie na wspólności religijnej. Od czasu do czasu łączyły się też

rody dla odparcia wspólnego niebezpieczeństwa i na ten czas wybierały sobie wspólnego dowódcę, księcia. Dopiero koło połowy X. wieku udało się Piastom utrwalić swą władzę nad plemieniem Polan, mieszkających nad Wartą i w ten sposób dali podstawę do powstania państwa polskiego. Równocześnie zaś z tworzeniem się państwa następują też zmiany w ustroju społeczeństwa. W miejsce dawnej równości, opartej na rodach, występują zwolna różnice stanowe. Z chwilą wystąpienia Polski na widownię dziejów ludność jej przedstawia już pod tym względem zupełnie inny obraz.

Co było powodem tej głębokiej przemiany, jest jeszcze dziś przedmiotem dociekań i sporów badaczy. Jedni z naszych historyków [1]) wprowadzają teorję najazdu. Lud obcy, wojowniczy, najechał ziemię lechicką, ludność tubylczą podbił, zmusił do wykonywania świadczeń, uczynił niewolną. Według więc tej hipotezy lud to pierwotni mieszkańcy Polski; rycerze, szlachta to przybysze, którzy się z czasem zasymilowali z ludnością miejscową. Zdaniem innych [2]) proces ten w ustroju społecznym ma związek przyczynowy ze wzrostem władzy książęcej. Silne rody, podlegające starostom, krępowały jego władzę, podczas gdy on dążył do jej ciągłego powiększania. Starał się więc te węzły rodowe osłabiać. Pomagały mu w tem usiłowania pewnych wybitniejszych jednostek w rodzie, skierowane ku podziałom własności wspólnej. Zanika powoli władza starostów i wieców, wytwarza się własność osobista nieruchomości, powstają różnice majątkowe. Przy podziale bowiem jedni dostają mniej z powodu n. p. zbyt wielkiego rozrostu rodu, inni więcej ze względu na swe znaczenie. Do bogatszych należą zapewne potomkowie usuniętych książąt plemiennych. Służba na dworze książęcym przyczyniała się też niewątpliwie do powiększenia majątku. Tak powstaje pewna warstwa wyższa, możni. Nie jest to jednak szlachta w późniejszem znaczeniu, bo są to dopiero jednostki wybitniejsze, nie posiadające żadnych wyjątkowych praw, t. j. przywilejów.

Obok możnych wytwarza się inna warstwa społeczna: rycerze, czyli woje, albo witezie. Wszystka niezajęta przez nikogo ziemia należała w tym czasie do księcia. Ziemi takiej było dużo z powodu małego jeszcze zaludnienia. Książę rozporządza też jeń-

---

[1]) Szajnocha, Piekosiński.

[2]) Kutrzeba, Balzer.

cami, których może na gruntach osadzać. Tę ziemię wraz z ludnością osiadłą na niej rozdają książęta z obowiązkiem służby wojskowej. Prócz tego do takiej roli przywiązane jest t. zw. „prawo książęce“ to znaczy obowiązek pewnych świadczeń dla księcia, a więc dostarczanie na dwór bydła, zboża, podwód, czasem i pieniędzy. Ziemię taką otrzymywał witeź na czas określony, potem dożywotnio. Kiedy zaś woje uzyskali prawo dziedziczności na ziemi nadanej na prawie rycerskiem, stanowisko ich zbliżyło się do warstwy możnych, tem bardziej, że i możni wchodzili często na odwrót w stosunek woja do księcia.

W miarę wznoszenia się w górę warstw zamożniejszych, rodziny ekonomicznie słabsze spadają coraz niżej. Ludzie wolni, ta przeważna część ludności swobodnej pierwotnej Polski, czyli tak zwani wówczas dziedzice, siedzący na własnych gruntach, narażeni często na klęski z powodu niskiego stanu kultury rolnej, zrzekają się swojej wolności i osiadają na ziemi cudzej, książęcej, rycerskiej lub kościelnej. Wtedy więc „wolny“ oznacza już tylko osobiście wolnego człowieka, ale siedzącego na obcym gruncie. Bo obok wolnych siedzieli na tych gruntach także „niewolni“, których też wciąż przybywało wskutek ustawicznie prowadzonych wojen. Z czasem zaciera się różnica pod względem warunków ekonomicznych między wolnymi a niewolnymi. Jedni i drudzy oddają część swych plonów panom, tylko że wolni składają swe świadczenia według umowy, podczas gdy niewolnym właściciel wyznaczał, ile zechciał. Byli oni też związani z ziemią, którą uprawiali, czyli „glebae adscripti“, albo przypisańcy, jak ich nazywano. Tych niewolnych nazywano już wtedy, zdaje się, chłopami. Wyraz ten w starym języku oznacza to samo, co człowiek, bo w kronikach łacińskich niewolny nazwany jest też „homo“ człowiek. Dziś pozostało nam to pojęcie w wyrażeniu „tęgi chłop“ i „dobry chłop“ w znaczeniu tęgi człowiek, dobry człowiek. Zresztą w rosyjskim języku do ostatnich czasów nazywano poddanego chłopa „czołowik“ [1]).

Jedyną trwałą pamiątką z czasów patrjarchalnego ustroju społecznego są nazwy najstarszych wsi polskich. Są to właściwie nazwiska, względnie przezwiska rodów, które z czasem stały się nazwami miejscowości. I tak n. p., gdy w jakimś rodzie często powtarzało się imię Grzymek lub Sobek, to mówiono, że tam mie-

---

[1]) Balzer.

szkają Grzymki, Sobki i dla wsi utarła się potem ta nazwa. Często też brano nazwy ze świata zwierzęcego i mówiono, że we wsi mieszkają Ćwiki, Kanie, Rysie. Czasem właściwości fizyczne lub duchowe członków rodu rozstrzygały o nazwie osady. Mówiono więc: tu mieszkają Kozierogi, Darmopychy, Rybojady. Bywało jednak i tak, że pewne rody nie miały jeszcze swego nazwiska ani przezwiska. Na pytanie więc, kto tu mieszka, nie umiano odpowiedzieć i radzono sobie w ten sposób, że brano pod uwagę, od jakiego wspólnego przodka ród pochodzi lub kto u niego jest starostą. Od Krzesza więc otrzymał ród nazwę Krzeszowice, od Radwana Radwanowice, od Racława Racławice, od Maszka Maszkowice (jak od wojewoda, wojewodzic, od starosta, starościc).

Późniejsze, ale również stare są nazwy wsi zakończone na ów, owa, owo. Pan osadzał koło swego grodu ludzi niewolnych różnego pochodzenia. Nie można więc było osadzie nadać nazwy od nazwiska mieszkańców. Trzeba było tedy pytać się, czyj ten gród, ta osada, to sioło. Na to odpowiadano, że to jest n. p. gród Chrzana, albo gród Chrzanów, wieś Wierusza albo Wieruszowa, sioło Ząbra albo Ząbrowo. Potem opuszczano wyrazy gród, wieś, osada, sioło i mówiono Chrzanów, Wieruszowa, Ząbrowo. W podobny sposób powstały przez dodanie końcówek in (yn), ina (yna), ino (yno) nazwy takie, jak Zawiszyn, Bodzenćin od nazwisk Zawisza, Bodzanta (dziś mówi się jeszcze matka, mat-czyn). Osady takie otrzymywały także nazwy od narodu, z którego osadzeni niewolnicy pochodzili, jak n. p. Czechy, Prusy, Węgry lub od rzemiosła, które wykonywano. Jeśli mieli dostarczać do grodu tarcz, czyli szczytów, nazywali się Szczytniki, jeśli mieli wypiekać chleb: Piekary, jeśli wypasali bydło: Skotniki (bydło znaczy w dawnym języku skot).

Często jednak nazywano też osady według tego, co w nich na pierwszy rzut oka najbardziej uderzało, a więc Dąbrowa od dębowego lasu, Dolina, Wielopole, Glinka, Zarzecze, Czarny Potok. Są to nazwy ściśle t. zw. topograficzne.

Na wzór tych najstarszych nazw tworzono później nowe. Do takich należą takie jak Opatowice, Biskupice, Andrzejki, Maciejowięta, Janów, Jędrzejów. Że one są późniejsze, dowodzi tego ich charakter chrześcijański, powstały więc już po przyjęciu chrztu przez Polskę.

Jak wyżej wspomnieliśmy, skutkiem powolnego wyrównywania się warunków ekonomicznych, w jakich żyli wolni i niewolni,

zaczyna się w okresie pierwszych Piastów wyrabiać z nich osobna warstwa ludzi zależnych. Że ta zależność ciążyła już wtedy bardzo na ludności, dowodzą tego dwa momenty z dziejów Polski.

Gdy po śmierci Mieszka II, wskutek powstałych między dwoma jego synami Bolesławem i Kazimierzem walk o tron, nastał w kraju zamęt, wybuchł bunt ludu wiejskiego przeciw rycerstwu i nieugruntowanemu jeszcze w dolnych warstwach chrześcijaństwu. Widocznie nałożone przez panów, duchownych i świeckich, ciężary zbyt przygniatały karki nieprzywykłego jeszcze do dźwigania ludu. Wykorzystał ten odruch ludowy dla własnych celów dawny podczaszy królewski Masław i ogłosił się księciem Mazowsza, a za nim powstali inni drobni książęta ludowi. Fakt ten na chwilę zachwiał istnieniem państwa polskiego.

Drugi raz za Bolesława Śmiałego lud, korzystając z długiej nieobecności króla i rycerstwa, zajętego ciągłemi wojnami, podniósł bunt i wdarł się gwałtem do ich siedzib, jak powiadają kroniki. Na wiadomość o tem rycerze tłumnie opuszczali króla i wracali do kraju dla tłumienia buntu. Rozgniewany Bolesław począł rycerstwo okładać ciężkiemi karami. Wtedy biskup krakowski, Stanisław Szczepanowski, który już przedtem poróżnił się z królem o włości duchowne, rzucił na niego klątwę. Biskup ginie w kościele na Skałce z ręki Bolesława. Wygnany skutkiem tego uchodzi za granicę i tam umiera. Tak zawierucha społeczna staje się pośrednio powodem tragedji.

Dokąd jednak władza księcia, względnie króla, była nieograniczoną, wszystkie warstwy ludności były przynajmniej do pewnego stopnia równe w obliczu władcy. W czasie jednak podziałów Polski książęta dzielnicowi, osłabieni ciągłemi walkami dynastycznemi, poczynają powoli ustępować swoich praw na rzecz warstw możniejszych, a więc duchowieństwa, rycerstwa i miast. Ograniczeniem tych praw są przywileje. Pierwotnie udziela ich książę jednostkom lub instytucjom, a nie grupom ludzi. Skoro jednak jednostkowe przywileje, czyli t. zw. immunitety posiadła większa ilość ludzi, wyrobiła się u nich wspólność interesów i celów, wspólny stosunek do władcy i niższych warstw. Stąd zrodziła się dążność do przywilejów już nie jednostkowych, lecz stanowych. Dążność w tym kierunku uwieńczył ostatecznie przywilej, wydany w Koszycach w r. 1374, którym król Ludwik węgierski zrzeka się wszelkiego „prawa książęcego“ do nieruchomości rycerzy z wyjątkiem dwu groszy od łanu i służby rycerskiej. Odkąd nadto ustaliło się uży-

wanie herbów i zawołań, wyodrębnienie szlachty stało się faktem dokonanym. Te przywileje — rzecz naturalna — wychodziły na szkodę ludności wolnej i niewolnej, bo oddzielały ją coraz bardziej od władcy, a oddawały pod bezpośrednią władzę uprzywilejowanych.

W tym jednak czasie, zanim dokonał się ten proces dziejowy, wystąpił czynnik nowy, który przyniósł ludności rolniczej okres świetnego rozwoju i na pewien czas zahamował wzrost przewagi ludności uprzywilejowanej. Jest nim kolonizacja [1]).

Zapoczątkowały ją klasztory, które wówczas były u nas prawie wyłącznie niemieckie. Stąd też i fala kolonizacji płynie przeważnie z Niemiec. W ślad za zakonnikami idą książęta, a potem panowie świeccy. Wzmaga się ona po napadach tatarskich, ale nie jest ich wyłącznym powodem. Tkwi on głównie w ułożeniu się stosunków ekonomicznych i społecznych, w stosunku ludności nieswobodnej do jej panów, w małem zaludnieniu i niskim stopniu kultury rolniczej przy przeludnieniu w sąsiednich Niemczech. Odwieczny niemiecki „Drang nach Osten" grał tu też niemałą rolę. Kolonizacja zmieniła gruntownie pod każdym względem wieś polską. Przedewszystkiem Niemcy-koloniści przynieśli z Niemiec do Polski wyższy stopień techniki rolniczej. Zamiast słowiańskiego radła wprowadzili pług, który pruje ziemię głębiej i lepiej przygotowuje ją pod uprawę. Jednostką gospodarczą jest odtąd t. zw. „łan" mniej więcej o 30 morgach, który otrzymywał każdy osadnik. Zamiast dotychczasowej gospodarki dzikiej wprowadza się system „trójpolówki", t. j. podział na 3 pola: jare, ozime i ugór [2]). Co trzeci więc rok ziemia odpoczywa. W związku z tem zmienia się też wygląd wsi polskiej. Pierwotnie bowiem dla lepszej obrony przed nieprzyjacielem budowano chaty wkrąg dokoła wielkiego placu w ten sposób, że za każdym domem leżało pole, należące do niego. Wieś więc podobna była do gwiazdy, z pustym placem w środku, z chatami okalającemi go i polami, biegnącemi jakby promienie na wszystkie strony. Obecnie przyjmuje ona inną figurę. Zaludniano, zwłaszcza początkowo, okolice puste, czyli, jak się wyrażano, osadzano na „surowym korzeniu". Wymierzano więc kwadrat lub prostokąt, wielkości 15—50 łanów i przez środek wytyczano drogę. Po jednej lub obu stronach budowano chaty, za niemi biegły długie łany. Wkońcu lub na środku wsi ulica się

---

[1] Kutrzeba. [2] Kutrzeba.

rozszerzała. Tam stał kościół, kramy i rzemieślnicy wiejscy, jak kowal, piekarz, szewc. Później takie istniejące już wsi poczęto dostosowywać do tej formy, choć z pewnemi zmianami. Dwa lub trzy łany zostawiano dla pana do bezpośredniej uprawy. Tę część jako leżącą poza obrębem wsi właściwej, nazywano po niemiecku „Übeschar“ obszarem. Stąd się tłumaczy, że jeszcze do ostatnich czasów obszar dworski zostawał poza nawiasem wsi [1]). Osadnicy przy obejmowaniu roli zastrzegali sobie pewne prawa. Przedewszystkiem uwalniano ich od prawa książęcego, które ciążyło na tubylczej ludności. Pan musiał uzyskać w tym celu od księcia przywilej immunitetowy. Nadto osadnicy przynosili ze sobą swoje prawo niemieckie, zwykle t. zw. magdeburskie, i uzyskiwali przywilej używania tego prawa. Wsi osadzane na tem prawie nazywano dlatego „Wolami“ od wyrazu wolność. Stąd tłumaczy się ta wielka ilość wsi naszych, które dotąd z pewnemi dodatkami lub bez nich, jak Łużańska, Kosnowa i t. d. idą na ziemiach polskich w tysiące. Wtedy pojawia się po raz pierwszy pojęcie gminy (z niemieckiego „Gemeinde“). Dotąd istniały związki, polegające na krwi lub poddaństwie. Teraz grupa ludzi wolnych łączy się celem załatwienia swych potrzeb lokalnych, tworzy gromadę-gminę. Na jej czele stoi sołtys (niemieckie „Schultheiss“). Jest to ów osadźca, t. j. pośrednik przy zakładaniu osady między panem a osadnikami. Jego stanowisko jest wyjątkowe. Dostaje 2—3 łanów wolnych od czynszu, $^1/_6$ czynszów płaconych przez osadników, $^1/_3$ część dochodów z sądownictwa, czynsze z jatek, młyn, prawo polowania i rybołowstwa. Stanowisko jego jest dziedziczne. Za to obowiązany jest sołtys do służby rycerskiej w orszaku pana. Niezależny ani od osadników, ani od pana, czuje się jednak związanym ze wsią, reprezentuje jej interesa. On też przewodniczy sądowi ławników.

Takie było prawnopubliczne stanowisko wsi, powstałej na prawie niemieckiem.

Jakiż był jej stosunek do pana?

Osadnik jest osobiście wolny. Uprawiany przez niego łan nie jest wprawdzie jego własnością, ale ma prawo jego wieczystego uprawiania. Pan nie ma prawa go usunąć ani jego potomków, natomiast on może pod pewnemi warunkami wieś opuścić. Świadczenia, do których osadnik był obowiązany, były następu-

[1]) Balzer.

jące: 1) czynsz pieniężny, wynoszący najczęściej 12 groszy polskich od łanu rocznie; 2) drobne świadczenia w naturze na większe święta w roku, jak: trochę jaj, kur, sera i t. p.; 3) robocizna (jednak nie zawsze, ale tylko wtedy, gdy we wsi istniało gospodarstwo folwarczne na obszarze), wynosząca 2—4 dni w roku. Od tych świadczeń jednak osadnicy byli uwolnieni na pewien przeciąg pierwszych lat, n. p. na lat 6, 10, 12.

Kolonizacja przynosiła korzyść wszystkim trzem czynnikom, biorącym w niej udział. Wychodził dobrze na niej pan, sołtys i osadnik. Dowód w tem, że w ciągu XIV i XV wieku cała Polska pokryła się gęstą siecią kolonij. Nie należy jednak sądzić, jakoby samych tylko Niemców osadzano na prawie niemieckiem. Było ich bezwątpienia dużo, zwłaszcza w pierwszym okresie. Wnet jednak utonęli oni w polskiem morzu narodowem. Potem rozpoczął się proces ważniejszy, kolonizacja wewnętrzna, przenoszenie osad polskich na prawo niemieckie. Wprawdzie nie wszystkie urządzane były zupełnie według tego systemu, wiele przyjmowało tylko techniczną i częściowo gospodarczą stronę kolonizacji. W każdym jednak razie przyczyniła się ona do ogólnego podniesienia stanu włościańskiego i dobrobytu całego państwa. Produkcja rolnicza w ciągu XIV w. a głównie XV ogromnie się wzmaga. Kiedy zaś Polska w pokoju toruńskim 1466 r. uzyskała Gdańsk i dostęp do morza, zakwitł handel zbożowy. Zboże polskie szło Wisłą do Bałtyku i zaopatrywało Niemcy, Anglję, Niderlandy i t. d.

Zdaje się, że wówczas po raz pierwszy na oznaczenie ludności wieśniaczej, osiedlanej na prawie niemieckim, pojawia się nazwa kmieć. Oznaczała ona chłopa, znajdującego się w lepszych warunkach w stosunku do ludności w dawniejszych wsiach polskich. Później, gdy stosunki się we wszystkich wsiach mniej więcej ujednostajniły, nazywano już wszystkich włościan zamożniejszych kmieciami i w tem znaczeniu wyraz ten istnieje dotąd.

Zamożny i zadowolony kmieć czuje się częścią społeczeństwa, bierze udział w życiu narodu. Kiedy wypędzony Władysław Łokietek wraca z małym pocztem Węgrów do kraju, znajduje główne oparcie w ludzie wiejskim. Dzięki tylko jemu wyszedł mały rycerz z tej walki zwycięsko. Lud bowiem dostarczał jemu i jego wojsku żywności, ostrzegał o niebezpieczeństwach i ukrywał w grotach Ojcowa. Pamiętał o tem syn i następca jego, Kazimierz Wielki. Ludność wiejską otaczał on najczulszą opieką i chętnie z nią się stykał, by poznać ich potrzeby. Baczył też pilnie, by wieśniakowi

krzywda się nie stała, a wszelkie nadużycia w tym kierunku karcił surowo. Dbając o dobrobyt ludu, zakładał spichlerze, w których gromadził zapasy zboża z lat urodzajnych, aby mieć je na lata nieurodzaju. Z tego powodu inne stany nadały mu przydomek „króla chłopów“. Wiek XIV i XV — to okres równowagi stanów. Nie znaczy to, aby stany były sobie równe, ale jednak każdy żyje swobodnie w granicach swoich praw i przywilejów. Lecz już w wieku XV zaczyna się powoli ta równowaga psuć. Powody były różne. Pierwszy i najważniejszy, to słabość władzy królewskiej, wynikająca z wybieralności. Począwszy od śmierci Kazimierza Wielkiego każdą, częstą w tym okresie, zmianę tronu wyzyskuje szlachta dla wzmocnienia swego stanowiska. Król, potrzebujący w takim wypadku poparcia silnej warstwy narodu, robi ustępstwa kosztem swej władzy a przedewszystkiem kosztem innych stanów, a więc mieszczańskiego i włościańskiego, które są za słabe, by zagrożone w swoich prawach, skutecznie się mogły opierać. Powodem dalszym chwiania się równowagi jest zmiana warunków bytu. Dotąd pan wsi był przedewszystkiem rycerzem, zadowalał się daninami i czynszami, obrabiał zaś bardzo mały obszar roli. Teraz pojawiają się wojska zaciężne, szlachcic z rycerza staje się rolnikiem. Czynsz mu nie wystarcza, zwłaszcza, że wartość pieniądza spada a stopa życiowa się podnosi. Zmieniają się bowiem stosunki polityczne i handlowe, pojawia się zbytek. Stara się więc pan najpierw podnieść czynsz, potem rozwinąć też własne gospodarstwo. Pcha go do tego łatwość zbytu produktów. W tym czasie bowiem rozwijają się miasta, mnoży się ludność konsumująca, jest też możność eksportu zagranicznego. Szlachcicowi potrzeba więc siły roboczej, by mógł zamieniać na rolę lasy, pastwiska i nieużytki. Folwark się rozszerza. Aby zmienić jednak dotychczasowy stosunek pana do kmiecia, trzeba go przedewszystkiem ograniczyć prawnie. Z powodu przemożnego już wtedy wpływu politycznego szlachty przychodzi jej to łatwo. Pod koniec XV i na początku XVI w. pojawia się cały szereg konstytucyj sejmowych, ograniczających możność opuszczenia wsi przez włościan bez pozwolenia pana. Ustawy zaś sejmowe z r. 1496 i 1538 ułatwiają i skracają proces o bezprawne opuszczenie wsi przez chłopa. Ograniczenia te z punktu widzenia szlachty były konieczne. Chodziło bowiem o utrzymanie chłopa na roli mimo podnoszenia ciężarów. Na wschodzie zaś, na Rusi, było dużo ziemi, trzeba było dużo rąk do pracy, tam więc dawano lepsze warunki bytu. Usta-

wami przeto hamowano ten ruch. W ten sposób przykuto chłopa do gleby. Nadto dążyła szlachta dó tego, aby usunąć wszelkie czynniki, mające wpływ na stosunek chłopa do pana. W r. 1494 i 1501 statutem piotrkowskim usunięto możność pozywania chłopa przed sąd miejski i grodzki w tych kilku sprawach, w których jeszcze mogli być pozywani. Zygmunt I w kilku wyrokach zrzekł się prawa rozpatrywania spraw chłopskich przeciw ich panom. W ten sposób oddano chłopa pod wyłączną władzę szlachcica. Jedynie w dobrach królewskich i duchownych chłop miał prawo zanoszenia skarg na panów przed sądy t. zw. referendarskie, względnie biskupie. Dóbr tych jednak w stosunku do szlacheckich było niewiele.

Kiedy tak ograniczono chłopa pod względem prawnym, zabrano się do burzenia jego samorządu wewnętrznego. Stało się to przez t. zw. skup sołtystw. Już w r. 1423 statut warecki orzekł, że sołtysa nieużytecznego i upornego może pan skupić. Pod tę ustawę mógł pan każdego niewygodnego sołtysa podciągnąć. Wtedy łany sołtysowe przyłączał do swego folwarku, a w miejsce dziedzicznego, interesa wsi reprezentującego sołtysa, ustanawiał czasowego, zwykle szlachcica. Sąd ławniczy stał się już wtedy narzędziem w ręku pana, od którego właściwie zależał wyrok i który był też najwyższą instancją. On wydaje wyroki w sprawach cywilnych i karnych, może skazać nawet na karę śmierci. Jako środka dowodowego używa chłosty. Pod koniec XV w. sołtysi istnieją już tylko prawie w dobrach królewskich. Ale i tu w XVI w. zachodzi nie lepsza zmiana. Konstytucja z r. 1563 orzekła, że wszystkie sołtystwa są na skupie. Król dawał przywileje na skupywanie sołtystw głównie szlachcie bezrolnej, t. zw. gołocie, która dbała przedewszystkiem o to, aby z nich jak najwięcej dochodów wyciągnąć i łączyła się z szlachtą przeciw chłopom. Kiedy tak ograniczono chłopa i odebrano mu możność dochodzenia krzywd, poczęto nakładać na niego coraz większe ciężary. Rozpoczęło się od podnoszenia czynszów. Ale daleko ważniejszą od nich jest, jak wspomnieliśmy, kwestja robocizny. Początkowo poszczególne ziemie uchwałami sejmików określają dla siebie wysokość robocizny. Dopiero statut toruński i bydgoski z r. 1520 ustanawiają, że kmieć ma dawać we wszystkich dobrach jeden dzień w tygodniu robocizny z łanu; tam jednak, gdzie ta robocizna była wyższa, pozostawała nadal w tej wysokości. Była to jedyna ustawa w Polsce, która oznaczała pańszczyznę, później już takich ustaw nie wydawano,

lecz przez nadużycia i praktykę podnoszono ilość dni roboczych. Prócz czynszu i robocizny obowiązani byli chłopi w dalszym ciągu do pewnych zwyczajami ustalonych świadczeń w naturaliach, n. p. pewną ilość kur, jaj i t. d. Nadto płacił chłop na rzecz skarbu państwa 2 grosze z łanu, t. zw. poradlne i podymne i dawał kościołowi dziesięcinę.

W ten sposób chłop, który nie miał nigdy praw politycznych, a obecnie odebrano mu prawo osobiste, schodzi do roli rzeczy prywatnej dziedzica. Statut z r. 1545 pozwala dziedzicowi chłopa z gruntem lub bez gruntu, samego lub z rodziną sprzedać, zastawić, darować, przekazać testamentem. Dziedzic rozporządzał także dziećmi jego. Jedynak nie miał prawa opuszczać dóbr pańskich, córka nie mogła wyjść za mąż bez pozwolenia dziedzica. Napróżno światli mężowie XVI w. w swych pismach politycznych nawoływali, aby w interesie państwa zawrócono z tej błędnej drogi. Interes stanowy szlachta stawiała ponad interes polityczny.

A jednak dola chłopa w epoce Jagiellońskiej nie jest jeszcze tak ciężka, jakby się na podstawie przytoczonych ustaw zdawało. Po pierwsze dlatego, że gospodaruje on jeszcze na dość dużym kawałku gruntu, bo na całym łanie lub najmniej na połowie, a powtóre, że rygor przepisów ustawodawczych stosowano tylko tam, gdzie tego zachodziła potrzeba. W praktyce te ograniczenia jeszcze w wielu miejscach nie były potrzebne. I co ważniejsze, każda ustawa, choćby najsurowsza, dopiero w rękach człowieka złego staje się okrutną, a przyznać trzeba, że szlachta tej epoki jeszcze była moralnie zdrową.

Dopiero okres wolnej elekcji królów uczynił chłopa polskiego z gospodarza inwentarzem folwarku. Pełną już władzę szlachty nad chłopem stwierdziła w r. 1573 po pierwszem bezkrólewiu generalna konfederacja warszawska, która orzekła, że panu wolno podług rozumienia swego skazać chłopa, czyli oddała chłopa sumieniu dziedziców.

Równocześnie stosunki ekonomiczne tak się układają, że szlachta zaczyna wykorzystywać w pełni ograniczenia ludności wiejskiej. Eksport zboża za Wazów dochodzi do swego punktu kulminacyjnego, do 100.000 łasztów. Szlachcic rozszerza wciąż swój folwark, który teraz dosięga już tej rozległości, co grunta chłopskie; zachodzi więc potrzeba powiększania robocizny. Niema tu ogólnej normy; przeciętnie jednak można przyjąć, że wynosi ona 8—16 dni w tygodniu od łanu. Szlachcic prowadzi dokładną

ewidencję dni roboczych, korzysta z nich w czasie potrzebniejszym lub wypędza na szarwark. Nadto chłop dostarcza podwód nie wliczanych do dni roboczych, dostarcza też kur, jaj, zboża, przędzy i t. d.

Karczma należała przedtem do sołtysa, teraz pan sam produkuje wódkę i piwo i sprzedaje w karczmie; gdzieindziej chłopu nie wolno kupować, zmusza się go do zakupna pewnej ilości trunków na wesela czy chrzciny. Rodzi się nieszczęsne prawo propinacji. Chłopu nie wolno też gdzieindziej mleć zboża, jak w młynie pańskim, niekiedy nie wolno mu ani kupić, ani sprzedać, jak tylko we dworze. To już wyraźne poddaństwo chłopa. Jedynym sposobem usunięcia się od tych ciężarów — to ucieczka na wschód, choćby do kozaków. Ucieczki takie musiały nie być rzadkie, skoro szlachta w kilkunastu uchwałach sejmowych między rokiem 1578 a 1613 przeciw nim występuje. Ale w XVIII w. i ta jedyna możliwość znika. Przy tem wszystkiem z powodu rozrostu ludności i braku odpływu ze wsi gospodarstwa się dzielą na ćwierćłanki, a nawet kilkumorgowe. Szlachcic widzi to chętnie, bo mu przybywa rąk do pracy. Są już nawet chałupnicy i komornicy, ludność bezrolna, robotnicy wiejscy, którzy jednak także podlegają stosunkowi poddańczemu.

Tak skrępowany i zubożały, zamknięty, we wsi wieśniak traci chęć do pracy, samodzielność, marnieje fizycznie, intellektualnie i moralnie. Szlachcic tymczasem sejmikuje, pojedynkuje się i pije. Kultura rolna cofa się w Polsce wstecz. W wieku XVIII już tylko 30.000 łasztów spławia się do Gdańska. Chłop jako czynnik społeczny i narodowy schodzi do zera. I brakło go w chwilach dla narodu krytycznych. Coby za wartość przedstawiał on, jako żołnierz wtedy, gdy ościenne monarchje absolutne tworzyły już regularne armje! Jedyną w dziejach próbę zrobił w tym kierunku Stefan Batory, formując z chłopów w dobrach królewskich piechotę łanową czyli wybraniecką. Biła się dobrze, jak mówią świadectwa historyczne. Niestety, idea genjalnego króla poszła z nim razem do grobu.

Rzecz znamienna, że ucisk ludu przez szlachtę nie wywoływał reakcji tak, jak to się zdarzało u innych narodów. Wyjątek stanowi jeden epizod, mała ruchawka za Jana Kazimierza. Lecz i wtedy podnieta przyszła od zewnątrz. Bohdan Chmielnicki, gotując się do wielkiej rozprawy z Polską, rozesłał po kraju tysiące emisarjuszów. Hasło przyjęło się szczególnie na Podhalu. Na czele

ruchu stanął Kostka Napierski. Szlachta jednak wracająca z pod Beresteczka wnet uśmierzyła bunt, a przywódca zginął na palu. W chwilach krytycznych, w czasach szwedzkiego potopu, znajduje ojczyzna mimo wszystko lud po swojej stronie. Chłopi organizują zbrojne bandy po lasach, nękają oddziały szwedzkie, uwijające się po kraju i w ten sposób walnie wspierają regularne wojska. Także przy wypędzaniu załóg szwedzkich z miast lud oddaje cenne usługi. Górale ziemi sądeckiej i nowotarskiej zyskali wtedy dużą sławę. To też wracający z wygnania król Jan Kazimierz w katedrze lwowskiej, oddając Polskę pod opiekę Matki Boskiej, ślubuje zarazem, że dążyć będzie do poprawy doli ludu. Nie przewidział szlachetny marzyciel, że jego zamiary w tym, jak i w innych kierunkach, rozbiją się o twardy mur stanowego sobkostwa.

Tak moc ludu wiejskiego trwa aż do upadku państwa. Wprawdzie literatura polityczna w drugiej połowie XVIII w., t. j. w okresie reform i formułowania praw kardynalnych, zajmuje się kwestją uporządkowania spraw włościańskich; Staszic i Kołłątaj w swoim programie odrodzenia Polski dużo miejsca poświęcili tej sprawie, jednak rzecz pozostała w sferze rozważań, lub co najwyżej ujawniła się w działalności szlachetnych jednostek. Ustawodawstwo nie wiele pod tym względem zrobiło. Nawet Konstytucja 3 Maja nie ma tu zasadniczego znaczenia, bo położenia klasy włościańskiej nie zmieniła na razie, lecz brała ją tylko „pod opiekę praw i rządu krajowego“. Stosunek pana do chłopa miał się odtąd opierać na umowie, pan nie mógł danin podwyższać. Nie jest to radykalna zmiana, lecz raczej program na przyszłość. A i ta opieka prawa mogła mieć wtedy znaczenie, gdyby ustanowiono władzę, wykonywującą tę opiekę, czego już Sejm nie zdołał dokonać. Potężny postulat praw człowieka, głoszony wówczas we Francji, nie odbił się echem w ustawach majowych.

Dopiero Kościuszko powołał lud wiejski do równych praw i równych dla ojczyzny obowiązków. Chłop ziemi krakowskiej poszedł za głosem wodza i pod Racławicami dokonał cudów waleczności. Wielkoduszny naczelnik narodu dla zadokumentowania swych przekonań przywdziewa na generalski mundur sukmanę. Ale jakżeż musi się liczyć z duchem czasu! W nagrodę swego bohatera Bartosza podnosi do godności szlacheckiej, a w manifeście połanieckim za udział w wojnie przyrzeka ludowi uwolnienie od pańszczyzny tylko na czas wojny.

Racławice — to mały epizod w dziejach naszego narodu. Ale idea Kościuszkowska utkwiła głęboko w duszy i myśli upadającej Polski.

Lud tymczasem jako bierna masa przeszedł pod władzę zaborczych mocarstw. Tu wszedł w warunki może jeszcze gorsze, niż dawne. Odrabiał dalej pańszczyznę, zostawał pod sądownictwem dziedziców, a raczej pod zaborem pruskim i austrjackim pod sądownictwem t. zw. justycjarjuszów, względnie mandatarjuszów, utrzymywanych przez dwory. Nadto musiał płacić podatki i dawać rekruta. Czynnikiem politycznym pozostała nadal szlachta. Rządy nie interesowały się chłopem, chyba gdy przyszło wygrywać go przeciw nielojalnej szlachcie. Pod zaborem rosyjskim dołączył się jeszcze nowy ucisk, t. j. prześladowanie religijne.

Ustanowionemu przez siebie Księstwu Warszawskiemu nadał Napoleon nową konstytucję na wzór innych państw swoich. Jednem z głównych jej postanowień było, iż wszyscy mieszkańcy są równi wobec prawa. Obok 60 posłów, wybranych przez sejmiki szlacheckie, zasiadało w sejmie 40 deputowanych, wybranych przez zgromadzenie gminne. Kodeks praw cywilnych Napoleona orzekł zniesienie poddaństwa. Teraz wieśniacy mogli swobodnie opuszczać rolę. Lecz te wolnościowe ustawy spadły tak niespodziewanie na nieprzygotowane i walczące z ogromnemi trudnościami państewko, że wprowadziło tylko zamęt. Obdarzonym wolnością włościanom nie przyznaje równocześnie kodeks własności uprawianych dotąd gruntów. Stąd opuszczający grunt pański chłopi są bezdomni i bezrolni i stają się włóczęgami i nędzarzami. Dużo roli tymczasem leży odłogiem. Ten jednak stan rzeczy nie trwał długo i skończył się wraz z Napoleonem i Księstwem Warszawskiem.

Kiedy po powstaniu listopadowem zaczęto się zastanawiać nad powodami upadku Polski, radykalna część społeczeństwa, pozostająca pod wpływem nurtujących w ówczesnem społeczeństwie europejskiem haseł wolnościowych, przyszła do przekonania, że ratunek dla ojczyzny wyjść może tylko z powszechnej rewolucji społecznej. Podjęto więc myśl podniesienia i uświadomienia ludu polskiego i spodziewano się, że w takim razie lud cały chwyci za broń. Znaczna część najlepszych synów nieszczęśliwej ojczyzny, chroniąc się przed prześladowaniem rządów zaborczych, przebywała wówczas za granicą, głównie we Francji. Tu, na emigracji w Paryżu, utworzono pod hasłem Kościuszkowskiej idei „Towarzystwo demokratyczne“. Duszą i kierownikiem jego był Lelewel. Do najwybitniejszych członków należeli lu-

dzie tej miary, co Teofil Wiśniowski, Ludwik Mierosławski, Zygmunt Miłkowski. Mickiewicz, jakkolwiek czynnym członkiem nie był, duszą swą gorącą należał do nich. Towarzystwo to oddziaływało na kraj przez wysyłanie tajnych emisarjuszów. Równocześnie w kraju działało w tym samym duchu tajne „Stowarzyszenie ludu polskiego“. Założył je w Krakowie poeta i uczestnik powstania listopadowego, Seweryn Goszczyński. Gorliwymi jego członkami, jako młodzi ludzie, byli znani i zasłużeni później: historyk Karol Szajnocha, austrjacki więzień stanu a późniejszy poseł i prezydent austrjackiego parlamentu, Franciszek Smolka, późniejszy minister dla Galicji Florjan Ziemiałkowski, Albin Dunajewski, kardynał krakowski. W gubernjach litewsko-ruskich czynnym był w tym czasie Szymon Konarski. Oddzielnie choć na tem samem podłożu działał Związek chłopski chrześcijańsko-socjalny ks. Piotra Ściegiennego w Lubelskiem, Sandomierskiem i Krakowskiem. Unarodowienie ludu, wywalczenie Polski przez lud i dla niego — było hasłem tych działaczy. Po kilkunastoletnich przygotowaniach wyznaczono czyn na rok 1846. Niestety, nie liczono się z jednem, że głębia przekonań i płomienny zapał nie zrównoważą wiekowego zaniedbania. Lud nie chwycił za broń, pozostał bierny. Owszem najhaniebniejszemu z haniebnych, rządowi austrjackiemu udało się nawet użyć chłopów do stłumienia powstania. Starosta tarnowski Breinl nagrodami pieniężnemi i obietnicami spowodował, że chłopi w powiatach tarnowskim, bobowskim, sądeckim i sąsiednich pod wodzą Jakóba Szeli ze Smarzowej, urządzili rabację, mordując i rabując ciarachów. „Dobrotliwi“ Habsburgowie mogli się chlubić swoim „cesarskim chłopem“. Ale świadectwo prawdzie dał jeden z najszlachetniejszych umysłów współczesnych, Kornel Ujejski, który w rozpaczy śpiewa: „Alеż, o Panie, oni nie winni, choć naszą przyszłość cofnęli wstecz, Inni szatani byli tam czynni, O, rękę karaj nie ślepy miecz!“ Że jednak uświadomiony chłop umie godnie stanąć w szeregu narodowym, dowodzi tego inne zdarzenie r. 1846: powstanie w Chochołowie. Tam twardy jak tatrzański granit góral, urobiony na modłę narodową przez ks. Kmietowicza i organistę Jana Andrusikiewicza, chwyta za broń. Więzienia Kufsteinu oglądały podhalańskie gunie. Centralny komitet narodowy, przygotowujący powstanie styczniowe, w odezwie swej, między zasadniczemi hasłami, o które miał walczyć, umieścił zupełne uwłaszczenie ludu wiejskiego. Lud jednak w powstaniu udziału znów nie wziął. Dopiero ostatniemu kierownikowi rządu narodowego, Romualdowi Trauguttowi, udało

się częściowo poruszyć masy ludowe, dzięki czemu mógł podtrzymać powstanie czas dłuższy. I teraz jednak, rzecz naturalna, szlachetny wysiłek jednostki o wielkim rozumie, cnocie i poświęceniu, nie podołał trudowi, na który złożyć się musi zbiorowa praca systematyczna i dłuższy szereg lat.

Wiek XIX, niosący ze sobą zrównanie stanów w obliczu prawa, pozwolił się także ludowi polskiemu doczekać wreszcie zniesienia poddaństwa i uwłaszczenia. Pierwszy pod tym względem był zabór pruski, gdzie nastąpiło to już w r. 1823. Austrja uczyniła to pod naporem prądów wolnościowych w r. 1848. Ostatnią była Rosja, gdzie przystąpiono do zniesienia pańszczyzny dopiero po powstaniu styczniowem w r. 1864. Z przykrością trzeba stwierdzić, że ogół szlachty czynił niechętnie ustępstwa ze swych przywilejów średniowiecznych, że robił to pod naporem zewnętrznym, i za wynagrodzeniem strat materjalnych, które przynosił jej nowy stan rzeczy. Przez wieki przywykła ona do tego, że interes publiczny szedł zawsze po linji jej interesu i gdy przyszło uczynić ofiarę na rzecz publiczną, nie mogła się na nią zdobyć. Wszak zniesienie prawa propinacji i wyodrębnienie obszaru dworskiego w Galicji — to zdobycz ludowa dopiero najnowszych czasów. Stąd dwór i chata zostały do końca jeśli nie wrogie, to co najwyżej dla siebie obojętne. Lud zaś po wyzwoleniu się z kajdan począł szybkim krokiem zdążać do postępu. Po całym bowiem szeregu nieudałych ruchów zbrojnych światła część społeczeństwa polskiego przyszła do przekonania, że tylko przez oświatę można pozyskać coraz to szersze warstwy ludu polskiego dla dążenia do niepodległości. Podniesienie zaś dobrobytu wzmocnić miało siły do przetrwania ucisku i przyszłej walki z wrogiem. Środkami, które zostawiały do dyspozycji czujne rządy zaborcze, zabrała się do tego inteligencja polska. W Królestwie Kongresowem przez tajne nauczanie, potem przez powstałą pod wpływem zmian politycznych Macierz Szkolną, założoną przez A. Osuchowskiego, Kółka rolnicze i inne instytucje, pracuje się nad uświadomieniem i uspołecznieniem wsi. W Poznańskiem wielce zasłużyło się na polu oświaty ludowej Towarzystwo Czytelni ludowych, na polu ekonomicznem Kółka rolnicze, Spółki zarobkowe i Kasy pożyczkowe. W tej owocnej pracy odznaczyli się zwłaszcza Maksymiljan Jackowski i ks. Piotr Wawrzyniak. W Galicji pierwsze na tem polu miejsce dzierży bezsprzecznie Towarzystwo Szkoły Ludowej, założone w Krakowie przez posła A. Asnyka w myśl jego hasła: „Nie pomogą próżne

żale, Bogu ból swój czas polecić, A samemu wciąż wytrwale Trzeba naprzód iść i świecić". Na polu ekonomicznem działają tu Kółka rolnicze i Kasy systemu Reiffeisena, zakładane przez Stefczyka. Praca nie idzie na marne. Wieś się powoli dźwiga z wiekowego upadku. Wartość społeczna i narodowa ludu poczyna mieć pewne walory. Chłop w walce z najeźdźcami o narodowe dobro staje w pierwszym szeregu. Dość wspomnieć unitów podlaskich i wóz Drzymały. Lud też sam już o sobie myśli, łączy się w Związki zawodowe i polityczne.

Równocześnie jednak wyjątkowe warunki ekonomiczne, które się wytworzyły na ziemiach polskich z winy zaborców, powodują masowy ruch emigracyjny ludu do krajów niemieckich i do Ameryki.

Wreszcie przyszła chwila, na którą wszyscy patrzeliśmy, wielka wojna. Chłop zapełnił armje wszystkich trzech stojących naprzeciw siebie zaborców. Po ziemiach polskich potoczył się złowrogi walec wojny. Baraki ewakuowanych na obczyźnie zaroiły się ludem wieśniaczym. Tych i pozostałych w kraju dziesiątkuje zarazą. Ci jednak, którzy pozostali w domu, często pod gradem kul, wśród huku dział, na samym froncie, orzą swą rolę. Oni, jakby wrośnięci w nią korzeniem, nie opuszczą nawet pod grozą śmierci swej matki-żywicielki.

Aż z oparów krwi, z dymu pożogi wyłoniła się niepodległa, zjednoczona Polska. I lud zgłosił się do narodowej pracy twórczej. Spełniają się marzenia najszlachetniejszych w narodzie, marzenia Kościuszków, Stasziców, Lelewelów, Goszczyńskich, Trauguttów, Asnyków; lud wieśniaczy stanął u ołtarza narodowego znicza. Na rubieżach ziemi polskiej stoi armja, w której 80% chłopów. Ordynacja wyborcza, stworzona przez rząd socjalistyczny, daje w rezultacie większość posłów chłopskich. Chłop zabiera głos i rozstrzyga często w sprawach najważniejszych. I inaczej być nie może, jeśli ma się dziać sprawiedliwość społeczna. On, choćby swą liczbą, jest fundamentem, na którym buduje się wielki gmach narodowej przyszłości.

Czy na to dostatecznie przygotowany? Czy zdolny udźwignąć ciężar obowiązków, które mu na barki wkłada bieżąca chwila dziejowa? Jedynym środkiem rozwiązującym ten problem jest oświata, rozlewająca się wśród ludu w jak najszerszych kręgach. Ona go przygotuje do pracy państwowo-twórczej, ona odwiedzie od błędów, pozwoli skorzystać z wielkiej skarbnicy naszych dotychczasowych dziejów, uchroni od tego, by nie powtórzyła się nieszczęsna wyłączność szlachecka z XVIII w. i pozwoli odnaleźć wieszczony mu przez Wyspiańskiego „Złoty róg".

WIT-TA.

Walka polityczna Łużyczan.

Przed paru dniami wpadł mi do ręki numer „Gazette de Prague“ z dnia 29 marca b. r. Jest to pismo, wychodzące w Pradze czeskiej po francusku. Znalazłem tam ciekawy artykuł o walce politycznej Łużyczan, który w tłómaczeniu podaję czytelnikom „Ogniwa“. Autorem jego jest Adolf Czerny, poeta i literat czeski, który od lat kilkudziesięciu zajmuje się Łużyczanami i ogłosił już o nich parę bardzo zajmujących prac.

Badając od lat paru stosunki łużyckie, podam parę wiadomości, które ułatwią zrozumienie przetłumaczonego artykułu. Z olbrzymiego szczepu Słowian połabskich, którzy przed wiekami zamieszkiwali całe wschodnie Niemcy, oparli się germanizacji tylko Łużyczanie, zachowując język ojców i obyczaj. Niewiele ich już pozostało. Będzie ich teraz może jakie 150.000. Zamieszkują wschodnią Saksonję koło Budziszyna, a w Prusach t. zw. „Spreewald“ dokoła miasta Chociebuża. Dzielą się na dwie grupy, mówiące trochę odmiennemi dialektami: na Górnołużyczan koło Budziszyna i Dolnołużyczan koło Chociebuża. Część ich wyznaje religję katolicką, część ewangelicką. Jak zaznaczyłem, należą oni do zachodniej grupy Słowian i językowo najbliżsi są Polakom, zwłaszcza ich djalekt dolnołużycki. Pomimo, że zewsząd otoczeni są wielomiljonowem morzem niemieckiem, pomimo tak nieznacznej siły liczebnej, pomimo brutalnych metod germanizacyjnych, jakie stosują względem nich Niemcy, nie opuszczają rąk, lecz gorączkową a usilną pracą starają się zachować tak gorąco umiłowaną narodowość swoją. Służą im do tego stowarzyszenia oświatowe, szerzące zapomocą amatorskich przedstawień, odczytów, wieczorków świadomość narodową, którą starają się zagłuszyć niemiecka szkoła i kościół. Nie wolno bowiem uczyć w szkołach języka łużyckiego, coraz bardziej ograniczają Niemcy prawo używalności języka łużyckiego w kościele. Mimo to walczą.

Piękny przykład patrjotyzmu, pracy organizacyjnej i szlachetnej wiary w własne siły.

Ostatnie wybory w Prusiech (20 lutego b. r.) wykazały dobitnie, ile trudności spotykają Łużyczanie w walce o najelementarniejsze prawa narodowe. Na pozór cieszą się oni przy wyborach do sejmu jednakiemi prawami, na równi z Niemcami; w rzeczywistości tymczasem zarówno w Prusiech, jak w Saksonji nie mogą wybrać przedstawicieli do żadnego ze zgromadzeń prawodawczych. Przed rewolucją mieli przynajmniej dwóch posłów do sejmu saskiego, jakkolwiek w stosunku do ich liczebności, należało się im więcej. Po rewolucji nawet tego osiągnąć nie mogą. Poprzednio podzieleni na trzy okręgi wyborcze, w dwóch z nich byli tak silni, że zdołali zawsze wybrać co najmniej dwóch posłów narodowych. Po rewolucji włączono ich do okręgu tak ogromnego (Drezno-

Budziszyn), że tworzą tam niewiele znaczącą mniejszość. W Prusiech, gdzie zresztą nigdy nie mieli ani jednego posła, rozdzielono ich między dwa rozległe okręgi wyborcze (Lignica i Frankfurt). Tak samo przy wyborach do parlamentu zaliczeni byli do olbrzymich okręgów wyborczych (wschodnio-saskiego, lignickiego i frankfurckiego); nie mogą zatem własnemi siłami utworzyć większości wyborczej. Dowodem tego wybory przeszłoroczne, w czasie których wysunęli własnych kandydatów z „łużyckiego stronnictwa ludowego“.

To niepomyślne położenie zmusza ich przyłączyć się do jednej z partyj niemieckich; ale którą wybrać, gdy żadna z nich im nie sprzyja? Nawet stronnictwo socjalno-demokratyczne jest im przeciwne. Okazało się to w Saksonji, gdzie, dzierżąc władzę od czasów rewolucji, nietylko nic nie zrobiło dla Łużyczan, ale jeszcze pogorszyło ich położenie (n. p. przez przyjęcie prowizorycznych ustaw szkolnych). Przywódcy łużyccy z wielką tylko trudnością mogliby wybrać to stronnictwo, albowiem naród łużycki, w większości rolniczy, skłania się raczej ku polityce konserwatywnej, z którą go złączyli dotychczasowi jego przedstawiciele. Nie mogliby się jednak pogodzić z dawną partją konserwatywną, ponieważ stała się nacjonalistyczną; nie mogliby tem bardziej, że jest to partja nawskróś antysłowiańska, germanizatorska, słowem, niebezpieczna dla tradycji narodowej Łużyczan. W takich okolicznościach uważali, że należy przyjąć propozycję niemieckiej partji chrześcijańsko-ludowej (centrum), która zresztą potrzebowała ich głosów. Przystąpienie do partji nastąpiło w listopadzie, w czasie wyborów do sejmu saskiego. Ale nie dało ono ani jednego miejsca Łużyczanom. Jedyny ich kandydat figurował na drugiem miejscu listy, ale liczba głosów partji chrześcijańsko-socjalnej nie pozwoliła na wybór dwóch kandydatów. Niemiec Hasslein, który stał na czele listy, dzięki łużyckim głosom, został wybrany do sejmu. W okręgu lignickim w czasie wyborów do sejmu pruskiego Łużyczanie połączyli się z tą samą partją. Nie wydało to również żadnych rezultatów. Większość głosów otrzymali socjaliści (7838) i nacjonaliści niemieccy (5906), centrum zaledwie 2122 głosów. Kandydat łużycki, który na liście stał na trzeciem miejscu, musiał odpaść.

Główną przeszkodą dla usiłowań Łużyczan była przed rewolucją nacjonalistyczna agitacja niemiecka. Posługiwała się ona wszystkiemi środkami, aby odstraszyć wyborców łużyckich, zależnych albo niezdecydowanych. Urzędnicy wodni [1]) i leśni, funkcjonarjusze dóbr państwowych, księża i nauczyciele wywierali silny nacisk na obywateli łużyckich. Dodawszy jeszcze to, co ludność

[1]) Łużyce Dolne pokryte są lasami i siecią stawów i rzek, tak, że komunikacja między jedną wsią a drugą, a często między jednem gospodarstwem a drugiem odbywa się zapomocą łodzi. Na łodzi wiozą dziecko do chrztu, łodzią jedzie orszak weselny do kościoła, łodzią odbywa człowiek ostatnią swą ziemską drogę — na cmentarz. (Przyp. tłum.).

Górnych Łużyc pruskich, przeważnie lesistych, widziała z swych lasów, że Łużyczanie są wierni Kościołowi i że dzieci ich wychowywane są w szkołach niemieckich, można zrozumieć, jak dalece mogli poddać się tym wpływom. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że większość robotników łużyckich głosowała za socjalistami. Ale te niepowodzenia nie zraziły Łużyczan. *Serbske* [1]) *Nowiny* z 3 marca piszą: Pomimo tych nieprzyjaznych stosunków, Łużyczanie koncentrują w Prusach swoje rozproszone siły... Nigdy nie można zdobyć twierdzy w pierwszym ataku... Łużyczanie walczą jawną bronią. Żądają konstytucji, zaprowadzenia reformy agrarnej i zjednoczenia wszystkich chrześcijan... Poszanowanie konstytucji pozbawi raz na zawsze właścicieli wielkich obszarów ich uprzywilejowanego stanowiska. Zaprowadzenie reformy agrarnej rozczłonkuje powoli wielkie obszary na korzyść małorolnych. Ponieważ odwieczni przeciwnicy chłopa i robotnika nie mogą nic przeciwstawić tej tak lojalnej i jawnej broni, próbowali uderzyć Łużyczan w miejsce najdotkliwsze. Usiłowali wykorzystać różnicę wyznania... Ale, nie mówmy o tych rzeczach... powiedzieliśmy szczerze prawdę Łużyczanom. Powiedzieliśmy im przynajmniej, że jesteśmy Łużyczanami. Sprawiliśmy, że do ich leśnych chat dotarła idea łużycka. Jeżeli tylko idea jakaś jest zdrową i sprawiedliwą, jest nieśmiertelną. Serce łużyckie będzie nadal biło w łużyckich lasach, będzie budziło ospałych, by ich pozyskać dla nowej, jaśniejszej przyszłości narodu łużyckiego.“

Łużyczanie potrafili ocenić dzieło organizacji, do której się zabrali w czasie wyborów w pruskich Górnych Łużycach. Kontynuują niezmordowanie tak w Prusiech, jak w Saksonji pracę organizacyjną. Świadczy o tem nowy i silny ruch zjednoczenia w życiu społecznem, literackiem i szkolnem.

Zakładają nowe stowarzyszenia w miastach i na wsi; zaczyna z powrotem ukazywać się literackie czasopismo p. t. *Łužica*, które w r. 1916 przestało wychodzić, tak samo ludowy dziennik w Dolnych Łużycach p. t.: *Serbski Casnik*, od dłuższego czasu zawieszony. Otwiera się subskrypcję na wydawnictwo książek dla dzieci łużyckich (subskrypcja osiągnęła już wysokość 10.000 marek pruskich) i t. d. Wogóle Łużyczanie zdając sobie z tego sprawę, że nie mogą szukać ocalenia w sile, usiłują ocalić się pracą kulturalną i narodowo-organizacyjną. Spodziewają się, że doznają poparcia od Ligi narodów, która się zajmie rozwiązaniem kwestji mniejszości narodowych w Niemczech.

---

[1]) Łużyczanie nazywają sami siebie Serbami łużyckimi — Łužiscy Serbjo.

Wydawca: „Polska Ludowa“ Towarzystwo wydawnicze, Stow. zar. z ogr. por.
Red. odp.: Jan Owiński.

Czcionkami Drukarni Literackiej w Krakowie, Jagiellońska 10
pod zarządem L. K. Górskiego.